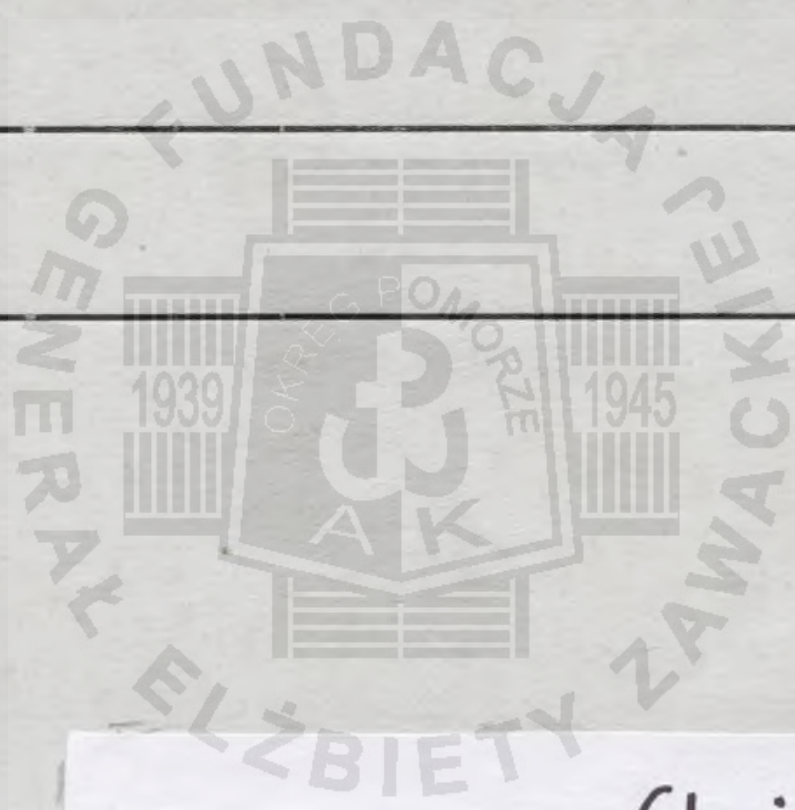
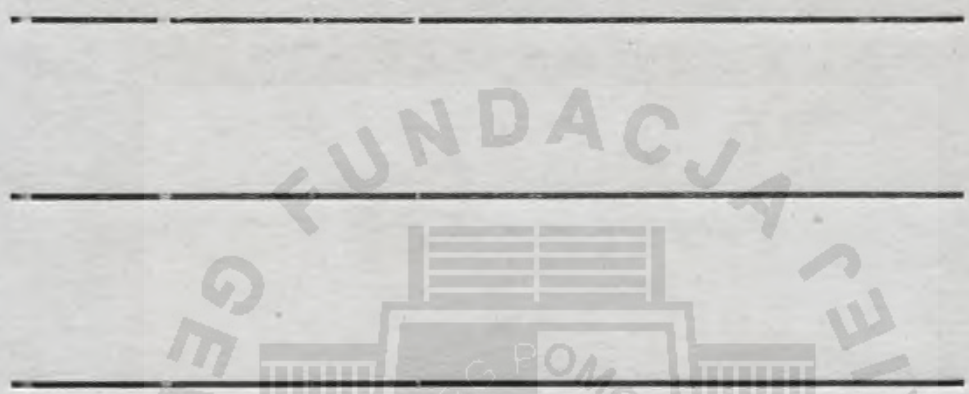


opr. VI 33 63

poprzedni nr M-113
T 101
EA



zob. +

Kazimiera
sali - Główny
543 Gdynia - Orłowo

Chojnice
IOW Gr. 3. - AK
** Kossak-Główny Sudwik
ps. "Japan"

M-113/722 Pom.

1/1. Relacja - Kossak - Głowczewski
Ludwik:

1. Głowczewscy Ludwik i Anna, Wspomnienia z okupacji hitlerowskiej i walki z wapastrnikiem (...), mpis, data wptytu do Arch. E. Zawackiej maj 1988 k. 31 s. 1-31
2. Wetrowski Józef, Relacja o działalności mieszącego stonka konspiracji Ludwika Kossak - Głowczewski - ps. "Japan", mpis oryg. z 7.02.1989 (z Arch. E. Elżbiety Zawackiej) k. 3 s. 32-34



Ludwik i Anna Glówezewscy

synom Kazimierzowi i Tedeuszowi



rob. art. Zbigniewa Gałka
Pomrania 1986

Gdynia - Orłowo

Autorskie prawa zastrzeżone

WPROWADZENIE

Rok 1897

Na Pomorzu, Kaszubach, we Wielu pow. Gójdnicę, młody nauczyciel podpada coraz bardziej władzom kajzera niemieckiego za swą polskość w czasie kiedy chodziło o germanizację Pomorza, w końcu otrzymuje nauczyciel, jako bardzo podejrzany za polskość i niepewny, karne przeniesienie głęboko w lasy, do małeńskiej zaniedbanej szkoły, z mieszkaniem zagrzybionym, odległej o 12 km od wszelkich ośrodków, do Huty pow. Gójdnicę, w okolicy tej zastał już osiedlonych trzech kolonistów, hekatystów, germanizatorów i obserwatorów. Nie wystarczyło jeszcze, więc przysłano do trójki dzieci Niemców, drugiego nauczyciela Niemca, nie po to by uczył, ale by bezpośrednio w domu pilnował tego Polaka, który działa nieuchwytnie, nawet z opresją wychodzi, choć działa i podejmuje później, jak widoczno, strajk szkolny. Dla większej pewności w dwóch lożnicach i w nadleśnictwie najbliższym w Borach Tucholskich i u wójta w Kosobudach założono okrę z obserwacjami, a u ostatniego leżał gotowy nakaz aresztowania, szkoła poniosła tych środków ostrożności, stała się ostoją polskość, a jej nauczyciel domową w walce z germanizacją. Uczono po polsku po domach i na polach, powoła i książki dostrzeżano całą rodzinie. Dzieci nauczyciela stały się kurierami, a szczególnie później w czasie walki z "grenzschutzes", poprzednio w łączności z partyzantami z Kleinschnitten i Roggeninow, który zatrzymał Niemców ubrany w krowią skórę.

Polaka w końcu wywalczyła swoją wolność po tylu latach niewoli.

Nauczyciel wraca na stare miejsce do Wielu, otrzymawszy od społeczeństwa wielki obraz "Konstytucja", na którym na odwrocie

dopisuje, że Polska będzie wielka i ludowa. Obraz ten niestety zginął w wojnie.

synowie dorastają patriotycznie przede wszystkim w uślo-
waniu ojczyzny.

Niedługo to jednak trwało i nauczyciel odchodzi wczesnie
w stan spoczynku, zanim dobiegnie go Beresa lub podobno.
Proszę wybaczyć, ale to tylko wprowadzenie.

LATA 1933-1939

W Polsce międzywojennej cieży się swobodą niojazość
niemiecka, gromadzi się i podnosi żob za libem hydra stugłowa.
Było nawet tak, że Niemiec za lada drobne uchybienie szukał
od razu opieki w sądzie i przymownie wygrymał, w Gdańsku, od
chcieli dojścia Hitlera do słowcy działa teraz zdojona centrala
wysiada, stamtąd płyną rozkaz-y do "volksdeutscheń", do piątej
kolumny, w każdej niemal miejscowości paładł taki jako dzior-
zawco, najchętniej lokalu gastronomicznego. Coraz to bliżej
nopaestniczej wojny i coraz beczeszelniejze staje się to toco-
rzyste hitlerowskie. Kaczynęją się zjazdów, odbywają swoje
zebrania, spotykają się w Gdańsku i innych przelicznym miejscoc-
wościach, wszystko notują, nadśłuchują, waządzie się wciokają,
gdzie się tylko da. Podają w Gdańsku nazwiska Polaków wpływo-
wych z dokładną datą urodzenia do tzw. czarnej listy, tych
których trzeba będzie w odpowiednim czasie posadzić do obemu
celem ponolnej zagłady i tych, których należy zastrzelić przy
napadzie na kraj, lub nawet już przedtem jakoć podstępnie
zlikwidować. Otaczali się słabymi elementami, podatnymi wśród
swoich na zbrodniarzy.

I tu zaczyna się właściwie wspomnienie byłego kurieroc-
-łącznika w młodości z lat chłopięcych i dzielnej, obecnie

żony - Anny, pierwszego chyba czynnego na wybrzeżu partyzanta kaszubskiego z początkowych dni września 1939 roku. Kiedy w 1939 roku było już dużo nowy o hitlerowskich zamiarach napaści na Polskę, usłysiał nazwisko moje w pełnym brzmieniu hitlerowiec Paul Kantzonka/ki /później Kant/ ze starzyna pow. Puck na ową czarną listę do osobistego jego i jego żony Trudchen z osławionych Englingów z Wejherowa, zastrzelenia przy szkole za to, że w jakiejś nowie publicznej wyraził się do wojska wracającego z ćwiczeń, że gdy Hitler na Polskę napednie to go przepędzimy za Odrę. Granicą naszą jest Odra, a nawet tereny po łabę należą do Polski, która będzie wielka i tym razem ludowa, u Odrze stoi od dawna skup z napisem "etój", w końcu za przynależność do Związku Zachodniego, dokąd należał celowo i ów szpicel Kant /Kantzonka/.

Nie wystarczyło mi to, zaprzęgam daleko przed najazdem już samodzielnie działać wspólnie ze szwami liwenski. Skorzystał ze sposobności mojego tam pobytu, przyznał do mnie w porze późnego już wieczoru dwóch znajomych mi panów, którzy natrętą nauką zapraszali mnie do lokalu, oczywiście opustoszałego już z gości. Dałem się namówić i paxzedłem. U wejścia do lokalu nagle zostałem sam, dwaj panowie weszli do pokoju gościnnego, jakoś pośpiesznie, widać było od razu, że jakby chodziło o zakład eprowadzenia mnie tam - dotąd. Z lewej mojej ręki znajdowała się bariera odgradząca wówczas otwartą kłapę w podłodze - wejście do piwnic, w tym samym momencie dwóch przyszłych so-mantów Klabbe i Tuszer kolejno bez słowa natarli, każdy z jakimś żelaznym przedmiotem w ręce, po który wprzód sięgnęli z za stołu, lady, gdzie jak generał stał Kant. Zorientowałem się w sytuacji i w tym momencie natarł pierwszy jego bojownik z uderzeniem tym łonem, ale odbiłem jego cios tak, że ów łon wylęciał mu z ręki, upadł w okno,

wybijając szybą. Natarł drugi, w czasie tym pierwszemu podał Kant inny przedmiot. Z tym drugim ta sama zaczęła sprawa - wyleciał mu dół łona także z ręki. W tej chwili natarł ten pierwszy ponownie, uderzył mnie w głowę, tymczasem była to butelka po piwie. Poleła się krew i jaony mi się stało, że wejście do piwnic jest otwarte, tam niano mnie wrzucić i bez śladu dobieć. Kiedy natarł drugi z podaną mu butelką, która się też rozprysła o twardą głowę, przystąpiłem do obrony, chwyciłem napaśtnika za kłapy ubrania i na głowę przez barierę do piwnicy z nim. Ten sam los spotkał następnego - zamknąłem kłapy za bandą, dorzuciłem kilka dobrych polekich szów Niemcowi i wyszedłem.

Uciecha moja była tym większa, kiedy usłyszałem, że obaj bandyci leżą rzekomo chorzy w domu. Świadków nie miałem, byli tylko oni, więc spokojnie czekałem do białego dala. Ale cisza ... tylko zbrodniarzu na niezadowolni do pracy, chodzą chorzy jacyś i skrzyskiewani, to im wystarczyło.

Zbliżał się czas, koniec sierpnia na granicy zaszczepki i swantura najejzdu. Inni przybyli wyekzannicy Kanta, zapraszając mnie w bezpieczne miejsce celem przesyca. Jednak wola obrony i walki kazała mi wycofać się staard, i tak zdęzałem do Połeczyna. W drodze spotkałem jadący patrol hitlerowski na motocyklu z koozem i jak się później dowiedziałem byli oni z zamiarem ujęcia mnie - pytając gdzie się znajduję, odczytali nazwisko moje z drukowanej jakiejś książki. W tej samej sprawie też wyznać musiał Niemiec Kant, że ten polski pies jest sprytniejszy od nas i z wojskiem oddalił się pod Puck.

W Połeczynie przyłączyłem się do ostatniej naszej warty polowej, która zdężyła zabrać ze sobą niemieckich dwóch szpiegów, wycofaliśmy się do Kooskowa i na Obłuże. Na Kępie Uksywiekiej już brak było broni, więc każdy robił co mógł byle walczyć

z wrogiem. W RKM w Gdyni gruby staruch mówi: "Idźcie do domu, nie warto". Zebrałem grupę młodych ludzi, jednego leśnika, z którymi dbałem o to by wróg na tyłach nie miał możliwości ekspedycji. Jeden z komentów dramatycznych jeszcze podam. W pewnym budynku na Obłuzu zademonstrowali się dwaj młynarze, chyba Niemcy z podchodzenia, lub przeszkoleni jako szpiegzy, przetrzuceni z Polski do Niemiec i z powrotem przez Martina Anglinga z Gdyni. W pierwszym momencie zauważyliśmy dawanie sygnałów lampką kieszonkową w kierunku frontu. Naturalnie na to światło skierowaliśmy strzoły i otoczyliśmy dom. W pokoju widoczne po strzałach naszych, że tu ciężko śpią dwaj młynarze. Rozbroiliśmy ich, odstawiliśmy do dowództwa z raportem i wracamy, a za kilka minut wracają i młynarze. No to była już dla nas kropka, no i wkrótce potem pada Okcywie, a my wędrujemy do obozu. Destylujemy się do bloków emigracyjnych na Grabimku Leszczyńskich, jako cywili jedzą, podejrzani o przebieranie żołnierszy. Przez trzy dni bez jedzenia, zgłodzeni z frontu, a końcu pojawiła się żona - pierwszy partyzant chyba w tej okolicy - od strony lasu, nad wysokim ogrodzeniem, z paczuszką. Stary żołnierz podawał nam od kobiet paczuski, tłumacząc po polsku: "Ja, ja - heute seit ihr hier und morgen können wir hier sein". Poimno zakazu przez młodszego Sz-mana dalej podawał nam paczki, dla mnie także. Co tam było? Był chleb, w wykrojonej w chlebie skrytce maczo z doniesieniem co się dzieje, jak to j. badali, jak grozili obozem i jak to się stało, że pozwolili jej wyjechać w poszukiwaniu brata, oraz stary mój dowód osobisty na nazwisko moje, gdyż szukają Cię o nazwisku dwuczęściowym pod literą "K" a nie pod "G". Stęgo podziękowanie za to i przystąpiłem do znieszczenia dowodu nowego, który opiewał pod literą "K" i zatrzymanie dowodu starego.

Potem pojawiły się panie z górnickiego Czerwonego Krzyża /które później zginęły w Powstaniu Warszawskim/, z dożywianiem nas. Mnie znalazły panie osobno. Potem po jakimś czasie kolejno wyprowadzali niektórych do lasu, po co było nam już wiadome, po odebraniu paczek i wiadomości co się dzieje. W końcu przed "gestapo" i tu znów ściśle według polecenia mojego najlepszego w wojsnie wywiadu - Anny, udało mi się i to jeszcze dzięki sprytnemu wyjaśnieniu uzyskać białą kartkę, zwolnienie. Pakuję swoje koce, wtem wpada pewien leśniczy by mnie powiadomić, że odczytali moje nazwisko w czarnej książce - mam uciekać. Oczywiście, otrzymałem w wyjściowej brzośnie ostatniego kopniaka w pewne miejsce i już byłem na wolności. Nazwijmy to drugim etapem w tej okropnej sytuacji, która każdemu tylko nakazywała uciec się do upadłego na wrogu, który postępuje w naszym kraju jak prawdziwy sbrodnik świata, jakiego dotąd historia nie notowała. To traktowanie, ten gwałt, ten napad i ta cała ich postawa obudziła chyba u wszystkich żądzą odwetu i chęć walki.

I odtąd zaczęło się.

Ręce sięgnęły się w pięści, honor wołał: "Wytrwaj, nie pozwól deptać swojej ziemi - skądś przystąp do walki z mordercą, z bandytą dwudziestego wieku". Dalej do domu do Cerkowa zbadać co tam się dzieje, było to pod koniec września 1939 r.

Dom rozbity częściowo, szyby w każdym oknie, rodzina skulona w suterenach, jest i Anna. I tu zaczęło się trochę naprężyć zniszczenia i już powstała myśl do walki z ukrycia. Wyszukałem z naradą z Anną myśl stworzyć coś takiego jak gazetkę, by informować społeczeństwo na bieżąco i zagrzewać do walki. Ojciec mój, już w tajemnicy, proponuje spotkanie z kp. Szprugiem, idziemy cichaczem, jestem tam pięty, Anna szósta, znalazł się i Józef

Żandziński, kierownik szkoły nr 8 z Orłowa, którego czyny i przeżycia powinny spisane znaleźć się na półkach dla młodzieży, i już u Szprunga organizacja sabotażowo-burzycielska gotowa.

Ale już 13.XI.39 r. musiałem znaleźć miejsce bo poszukując mnie, są u ojca, u Anny, wszędzie pogródki, w końcu otrzymaliśmy meldunek od kogoś z Orłowa, zdaje się od jakiegoś Kapały o grożącym niebezpieczeństwie i dalej w drogę z lewymi już papierkami w Bory Tucholańskie. Więc pożegnanie, umowa - przyjazd Anny przez Kościerzynę, Bąk do Karsina za tydzień. Pożegnanie u kpt. Szprunga, gdzie też już znajdują się perszadna śwaka trotylu i inny sprzęt, rozmowa o drukarni itp.

Przed Egierstowa, kiedy zamocowany pod wieczór puchem rower pod bardzo długą górę, obciążony na bagażniku w najniezbędniejsze przykrycia z kartką lewą od policji, że jadę do Chojnic by tam pracować przy gimnazjum jako nauczyciel śpiewu, dogania mnie wóz we dwie konie białe zaprzęto, widzę karabiny i kilku starych Niemców z opaskami landwehry, jakoby mi się i to udało, zaciepili co tam wiozę, ale papierek, który odczytała jadąca z nimi dziewczyna dopełnił reszty i obyło się bez rewizji. Za tydzień z wiadomościami, jak mówiono, przybywa Anna do Górek pod Karsinem. Rozmawiamy o naszej pracy konspiracyjnej, o drukarni, trzeba będzie stworzyć organizację, szukać ludzi do pomocy, znaleźć dostawcę papieru, farb oraz udać się do Czeraka w sprawie maszyny drukarni. Oboje z Anną jesteśmy u ciotki p. Cenkowej. Wprzód wywiad, co się stało z maszynami drukarni - i tak pierwsze kroki zrobione pomyslnie. Ciotka mówi: "Bierzcie wy je lepiej niż wieliby zabrad to hitlerowcy". Wskazała miejsce ukrycia maszyn oraz oszłonki i poleciła wydanie nam wszystkiego, całego sprzętu, przechowanego u kogoś na peryferiach miasta i oszłonki u p. Brzosińskiej w Czeraku.

/fotogr./

W Wielu/wybudowanie i w Górkach u Gracjana Trawickiego wtajemniczyły z Anną trzeciego do organizacji i to kuzyna Jana Głowczewskiego, który czmychnął hitlerowcom z szeregu jenieckiego w Bydgoszczy przed masakrą. Anna dużo podróżuje, znalazła wspaniałą okazję szycia po domach u Niemców w Gdańsku i Gdyni, często wysyłając sobie na pocztówce zaproszenie od klientek, lub ja posyłała zaproszenie, by uzyskać mogła zezwolenie - "Passierschein", przywozi wiadomości z powiatów Wejherowo, Puck, Gdynia o Piszniacy i to wszystko ma służyć nam jako materiał do druku skrzętnie notowane i składane. Stale podejrzana o kontakty ze mną, chociaż w przesłuchach i Anna i rodzina moja upewniali gestapo, że rzekomo na Oksywie został zabity przez pocisk w czasie walki. Nie było to jednak wystarczającym tłumaczeniem. W Orłowie często zjawiała się w domu policja a u Anny regularnie co trzy tygodnie zjawiało się gestapo i stale choǳiło im o informacje o mnie. Przecież przeboleć tego nie mogli, że granicą Polski ma być Odra. Jak mogłem wiedzieć, że za pięć lat po rozpoczęciu wojny przepędzimy hitlerowców.

/fotogr./

Bardzo boleło ich zawieszono u Anny na ścianie moje zdjęcie, takie same jak oni mieli przy sobie. Zdjęcie to moje zrobione w marcu 1939 roku zdobył ów Kant przez jednego ze swoich lisusów, który dziś już jest w bardzo podeszłym wieku starczym. Zdjęcie to moje następnie znajdowało się w liście gończych w policji, jak również poszczycił się nim również później konfident w Borach Tucholskich, tylko szkoda, że w Polsce zniszczono wszystko. Widocznie dla zwabienia mnie otrzymał ojciec pozwolenie zasiedzenia w Orłowie, a Anna natomiast otrzymała przekwaterowanie, ze swego mieszkania do innej rodziny bliżej obserwatorów. Na poczcie w Starzynie bardzo często przeglądano listy, szukano skrzętnie za listem do Anny ode mnie, ale na próżno. Pisałem co tydzień

i to własnoręcznie listy zupełnie niepodjęrzanej treści o pracy, o strojach - sukienkach, które jednak dla wtajemniczonego mówiły wszystko lub listy do partyzantów Anny. Nawet "gestapo" przedłożyło list Annie pisany przeze mnie jednak spotkali się z należytą ironią, gdyż umowa była nie do obalenia między konspirantami. Rodzina w Orłowie została w nią przez Annę informowana, tak że wszelkiego rodzaju chwyt "gestapo" stałe spełzały na niczym. Polski duch i samobrona wobec wroga, tak okrutnego, bezwzględnego, morderczego po mistrzowski potrafił przeszkolić zwłaszcza tych, którzy pełne ręce mieli roboty i uwyślnięty oporem stawianym wrogom. Nam w głowie stałe tkwiła praca nad gazetką, utrzymywanie na duchu Polaków tych co będą bardzo twardych, a im więcej a zwłaszcza na Pomorsiu wprowadzali hitlerowcy terroru tym twardszy stawał się naród kaszubski. Wszyscy podawali ręce pomocne uciekinierom i nie szczędzili środków dla wyżywienia takiej masy narodu szukanego. Czasem spotkało się i niewdzięczników, skądzieś jak wędzić na świcie trafić się świnia. Byli i szpicle mówiący po polsku. O takim niech opowiem. Spotkaliśmy go z Anną w Starogardzie na stacji kolejowej. Przypadko mi z okazji szukania papieru, farb drukarskich zimą w grudniu 1939 roku był w Pelplinie, gdzie konferowałem z panią Maniecką, pracownicą drukarni i księgarni "Pielgrzym", z tej racji zatrzymałem się w Mewilu pod Pelplinem u J. Chabowskiego. I tu chcieliśmy spędzić sylwestra, na który to do nas Anna przyjechała z jakimś dla mnie ubiorem, papierosami i coś jeszcze z okazji sylwestra, no i z materiałem - bogatymi wiadomościami do drukarni, która jeszcze w powojakach ale już jest i dała nam bardzo dużo do zastanowienia przede wszystkim o zachowaniu ostrożności i roztropności by nie stracić nikogo z wiernych Polaków bez potrzeby pochoinnie, trzeba było pamiętać, że wróg także nie śpi, nie próżnuje. Wiedział

dobrze, czego może się spodziewać za swoje głupie czyny. Wiedział, że zrobił błąd, którego niczym naprawić nie zdoła choć w swój bucie i głupocie myślał, że do czynienia ma z bezwzględnością. Teraz za późno, że dużo zbrodni. Węszyż, węszyż wszędzie, wstawiał swoich obserwatorów, to tu, to tam, by mieć wszędzie swoje oczy i uszy.

Anna przyjeżdża przez Pelplin do Marwici w roztopie czy deszczu, zmoczone nogi. Powitanie w tym bardzo miłym zakątku sta-wia walizę w kuchni, zapachniało ^{cieplą} kawą, aż tu wpada ~~spłoszony~~ inny rolnik osadnik z alarmem, że gestapo i policja przyłapała dwóch ukrywających i przeszukuje osady. Naturalnie zawrzało jak w kotle. Mówię: "Jasiu, zaprzęgaj konie, jedziemy na dworzec w Starogardzie, zaraz wyruszamy". W nig furasanka gotowa, siadamy, ja nosiłam wąż trochę rudawy, lekki deszcz ze śniegiem padał całą drogę. Jesteśmy w poczekalni w porze obiadowej, No, zjemy tu obiad, może kelner nam da dwie zupy na jedną tylko kartę Anny, bo ja swoje niby zapomniałam zabrać, tak z konieczności targujemy. Wtem przychodzi przy nas młody człowiek, z wyglądu jakiś czeledek rzeźnicki, czy może przyśiadł i o co tu chodzi, a o karty na obiad. Drobnoska, mówi, ja mam, ale dla pana, nie szkodzi nam drugie i wyciąga, przy tym zauważyłem, że ma od spodu marynarki hitlerowską odznakę. No siadamy i rozmowa, wszystko po niemiecku. Mamy właściwie zamiar wyjechać pod Chejnice do Łęga i Jastrzębia, ale mówię, że jedziemy do Tszewa, tj. w przeciwnym kierunku, o to dobrze, ja też tam jadę, więc jedziemy razem, no to dobrze. Za dwadzieścia mniej więcej minut czas do pociągu, a mniej więcej w tym samym czasie i w jedną i w drugą stronę odjeżdżają pociągi. Przeprosiłem rozmówcę i równocześnie trąciłem Annę w mokre trzewiki pod stołem, że niestety nie będziemy mogli tym pociągiem pojechać,

bo zostawiliśmy zakupiony towar przy kasie u Guzickiego w domu towarowym, musimy to odebrać. Jedziemy następnym pociągiem, no to dobrze, ja też pojedę i zbieramy się do wyjścia - płaciny. Waz szpicel również płacił i odch odzi do miasta wprzód. Spojrzał z daleka przed zakrętem, widział że idziemy po schodach z dworca i ankił pośpiesznie by tym nastroid policję. Kupiliśmy bilety i szybko na peron do pociągu w kierunku Chojnic. Udało się tym razem wspa-niale wywieść w pole głodnego ludożercę, pacholka zbrodniarzy. Anna noc przeczekala w łogu, bo był tam ruch duży gestapo, i wraca do domu pod Puck. Naturalnie przyłączyła się też choroba i oba uszy odmówiły posłuszeństwa skoro tak nogi czy trzewiki wymoczyłaś. Wtem ktoś puka, a tu gestapo puka i puka, w końcu się pakuje do mieszkania. Przesłuchy znówu "wo ist der verfluchte polnische Hund"? Anna nie słyszy dobrze, więc podejrzewają, grożą Stutthofem, złapali list, przeszkodziło im moje zdjęcie na ścianie itd. W końcu, jeżeli jest chora to musi iść do lekarza. Dobrze, wybierzam się do specjalisty, a jeżeli pani wie, gdzie on jest^a nie powie, pierwsza pójdzie tam, wiadomo gdzie. W Orłowie byliśmy, wygadali, ale to Annę nie wzruszało, wprzód ruszę do lekarza. Chodziło znówu o to, by w Orłowie wiedzieli o co chodzi i co mówić. Jednak zdę-żyła poinformować, i ledwo wyjechała z powrotem, gestapo było w Orłowie - "Der Hund, den müssen wir haben, der will die Oder als Grenze". A tu właśnie chodziło o to, by niszczyć wroga, by pomagać i zwyciężyć i mieć Odrę jako granicę na zachodzie - praysięgliśmy sobie wszyscy w Orłowie u kpt. Szprunga - Anna i wszyscy nasi już sojusznicy roboty podziemnej i papier i farby i maszyna drukarska, że tak będzie i pełno było entuzjazmu z naszej strony, resztę im powiemy w gazecie oraz trotylem i słodką robotą burzycielską, stępcownie do naszego programu. Damy wam, bandyci - szeregi nasze rosną, skupimy wszystkich w Borach Tucholskich

i w Gdyni, a trud ten się nam opłaci, nie spocniemy aż do zwycięstwa.

W Górkach u Trowickich znów i w Wielu na wybudowaniu u Gaspiewskich z Janem upływają dni. W małym donku szarym "belwederem" montujemy jakiś aparat radiowy, by uzyskać więcej wiadomości ze świata, co miało również nam być pomocne przy przyszłej, już regularnej pracy. Ale nie zawsze i nie wszystkie biegną tak spokojnie. Spod słońca w stajni, gdzie stały cielęta, zrobiłem podkop pod fundamentem i w stercie kubin w samym środku miałem swoją siedzibę. Było tam zimno, boś to przewiewne. W międzyczasie szukałem papieru i farb także w Chojnicach u Kazimierza Zinnego była jeszcze jedna nadziejka, otrzymałem tam w prezencie dwa wieczne pióra "Mont Blanc" i dwa "Kuli", aby w mojej pracy w drukarni nie zabrakło. Farby mam w swoim czasie również otrzymać, nauczyłem się tam w warsztacie kilka fachowych prac, co do papieru składania i tak powoli robi się wiosna.

Przy następnym pobycie Anny zauważy, po kontakcie z Franciszkiem Melawekim w Górkach, dalszych sojuszników. więc wybieramy się do Bytni, gdzie mieszkał znajomy sprzed wojny, Józef Grzonka. W końcu, ponieważ nie był dawno w domu, wskazano nam miejscowość Wygonin pod Starą Kiszewą, więc wędrujemy, i z daleka tuż pod lasem poznajemy i stajemy poznani, jest Józef, serdeczne powitanie i dużo łez popłynęło przy tym spotkaniu i już jest następny wstajenniczony w nasze sprawy, chętny do wszystkiego, aby tylko jak najbardziej dać w skórę obrzydliwcom hitlerowskim. Następny to Bernard Babiński z Będziszewic, młody chłopak, ale pełen werwy. Już i Anna zdążyła mi przywieźć mój ulubiony pistolet FL, z którego, przyszan się, strzelałem nie gorzej niż ci z filmów amerykańskich. Nie czujemy się też tak bardzo osamotnieni, boś przyszan trzeba nie mając nic, a tu środki o tak ciężkie, ważne i poważne

przedsięwzięcie jak drukarnia, prawie niebezpieczniejsza, lub także jak arsenał niebezpieczny w tym czasie tego okropnego zalewu cesarskich i brunatnych koszul z czaszką trupią i "Gott mit uns" w obłudzie i zbrodni w tym czasie.

I znowu sami jakiś czas, to tu to tam szukam i chodzę i znów z Anną martwimy się razem, niekiedy widzę, że ludzie boją się czegoś, ale to może nam się tak wydaje, doszliśmy do Karsina z potrzebą do dentysty i tu nasz zapoznaliśmy się tam, a ponieważ p. Dakowski nie miał czasu, więc Anna jego dotrzymywała nam towarzysztwa, było trochę różnie. Idąc tak pewnego razu z Karsina do Osowa spotykam Niemca z karabinem, stał na wzniesieniu, ale nie będę się wracał, przecież pistolet w razie wypadku jest już w kieszeni. Nie ma co, nigdy się nie cofałam, idę wprost, a tu w dole pracują niewolnicy, Anglicy. Ciekawe, skąd ich wzięli tak wcześnie, pozdrowiłam sojuszników i potem słyszałam, że to drugi w powiecie całowiek, który mówi po angielsku. Przeszedłam trochę w obawie przed obserwacją Niemca, a ten jakby był największym krótkowidzem, nie zwraca na mnie uwagi. Pytam stojącego tamoczłowieka w czarnym ubraniu i czarnym kapeluszu na głowie, był on fachowym kierownikiem wykopu pod tory kolejowe, czy może tu wszedł niewłaściwie. Ależ nie, ten Niemiec to porządny chłop, pochodzi z Lipska, mówi mi Cysewski Alojzy, jego to nic nie obchodzi. Faktycznie odszedł Niemiec daleko dosyć, tak że mogłam wdać się w rozmowę z Anglikami. Zamówiłam się - że częściej ich odwiedzę. I tak też było, odtąd gdy Anna przyjechała z p. Dakowską byliśmy tam częstymi gośćmi, nawet panie nasze piekły babki, placek, ciastka i inne smakołyki dla sojuszników. Narobiliśmy dużo zdjęć oraz powpisywali się Anglicy do pamiętnika z dokładnymi adresami ich domów. Zaprosił nas również p. Cysewski do siebie do domu, a tu spotkałam u niego nauczyciela Jana Klamana, który również wystąpił z szeregu, zamiast do obozu

poszedł na wolność by dalej bić wroga.

Rozmowy i zwierzenia, sprawa drukarni, papieru, farby i szersze kontakty, boć potrzeba cały batalion ludzi do pomocy i ochrony tak wspaniałego dzieła, jakim będzie drukarnia i niech się wścieka Abwehra, gdy znajda tu i tam przypadkiem kawałek gazety polskiej. Będą musieli zdwoić szereg i do walki wewnętrznej, to ich trochę osłabi w ich dążeniu zdobycia "die ganze Welt". I tak kiedy Anna, jako mój wywiód w Wejherowie, Pucku i Gdyni, łącznik i opiekun pierwszej jakości, była w swoim terenie, z Kłemenem spotykaliśmy się częściej, był on obecnie robotnikiem u swego teścia, pracował na roli i jak dotąd był bez kontaktu jeszcze z podziemiem. Znał co prawda kogoś w Czeraku. Ramu pewnego opowiada mi, że pojawili się dwaj uciekinierzy ze Stuthofu i że ułokował ich w stodole bez wiedzy teścia. Będzie trzeba ich tam odżywić co są wycieńczeni i słabi. Policja i gestapo robią obławę, byli już u śony trzeciego ich kolei, który pozostał w obozie. Ucieczka ich nastroczała im wiele niebezpiecznego trudu, bo musieli pokonać wpiąt liczne kanały, wody na mizinach. Jeden z nich rzekomo jest inżynierem elektrykiem. Postaraliśmy się też dla nich o aparat radiowy, aby mogli zaczerpnąć coś niecoś ze świata, który stanął do walki z bezwzględny tyraniem. Ramu pewnego umówiliśmy się, że u Cysewskiego urządzimy sobie radiową audycję. Kłemen przyniesie aparat, ja - nową baterię i akumulator. Wszystko grało z wielką wprawą, bo potrzeba jest matką wynalazków, zdobyłem swoje za pomocą Anny, która również na ten czas przybyła. Zbliża się wieczór, był to może sierpień. Cysewski zaprosił swoich znajomych. Nasze obiedzie rozmawiają, ja ułokowałem swoje baterie pod szafą i czekamy na przyjazd Kłemena. O, jest w kołcu, było już dobrze o sroku, przyjechał na swoim już dożył afstygowanym starym klekocie - rowerze. Stawia go pod domem, zawiesił aparat w plecaku na płot.

Było nas tam około dziesięciu osób, ale równocześnie dodaje, że przed sąsiednim budynkiem stoją dwa rowery takie lepsze od jego mocno cykającego grata, ale to nic. Zabieramy się do wejścia, zabrałem plecak z aparatem ze sobą, bo lubiałem niczego nie przeoczyć i postawiłem aparat pod stół, który stał na środku pokoju. Rozmowy i gwar w izbie. Zaczynamy urządzać, ale w miejsce usienienia, którego tam nie było uchwaliliśmy wiadro z wodą. Pani Cysewska szybko wylatuje przed dom do pospy, za nią, za nią wszyscy mężczyźni na papierosa, a my z Anną, Klamannem, zostaliśmy w pokoju, przecież wysłuchać należało nowości ząd Wybrzeża. Wtem powstał na podwórzu gwar, hełas - "was ist hier los" i usłyszeliśmy w tym szumie nawet uderzenia, jakby rękoczynny. Policja grasowała w tym czasie z powodu że zasłoniętych okien, co i u nas było, bo światło widać było aż na podwórzu. Mężczyźni naturalnie rozbiegli się na wszystkie strony i pokryli się w polu, w kartoflach. Klamann tymczasem zauważył, że znajduje aparat, który zawieszają na płocie. Nie zdążyłem przemówić, że jest tu, już Klamann był w podwórzu. Teraz dopiero zaczęły się wydegi, gdy policja zauważyła, że tam jest jeszcze jeden. Mój pistolet jakby sam wyskoczył z kieszeni. Niemcy narobili krzyku, że trzeba strzelać, na to czekałem, ale nie strzelali, tylko po pewnym czasie, nie mogąc wkoło budynku złapać Klamanna odesali ponownie, zapowiadając powrót za pół godziny. Widać przeczuwali niebezpieczeństwo i już nie wrócili, chociaż było to jedyna droga powrotna, widocznie polami się wycofali. Wszystko było cicho, ale jednak za jakiś czas Cysewski został z rodziną wywieziony na roboty do Niemiec, na jego miejsce sprowadzili swojego cichego współpracownika. We wszystkich przypadkach napominałem, by nigdy nie rozpoczynać bezmyślnie swantury, aby nie narażać narodu na straty. Z Klamannem zostaliśmy na miejscu, boć Anna musiała wracać na swój teren, świadoma że jest pod obserwacją,

a tu ma poważne zadania. Hitlerowiec Kant dalej czyni swoje. Zginął też za jego przyczyną Władysław Kanefka, ks. Fleming, którego denuncjowała Maria Romień, leśniczy Telaska, którego bestialska osobistość Kant aresztował w Werblinie, związał ręce linką do bielizny doprowadził do szpitala. Najwięcej jednak Kant przeżył strachu, kiedy doniesiono mu, że widziano mnie siedzącego w samochodzie przed jego lokalem, kiedy inni z samochodu weszli do lokalu. Przepuszczał wówczas, że zbliża się jego godzina mojej porwania lub zastrzelenia, odtąd ubezpieczał się bardzo czujnie. Wyjeżdżał częściej, ale rzekomo zaprawiał się w sztuce zabijania, na praktykę do Sztuthofu. Ale żona jego Trudchen prowadziła dalej swoją funkcję śledczą, by wpadła na mój ślad, pisywała listy do Arny ode mnie, ale jakos te jej się nie udawało. Listy gestapo przesłukiwały Annie przy okazji codziennej wizyty ale zawsze nie udawało się im widzieć, że żyję, a listy moje raz w tygodniu otrzymywała Anna. Więcej nawet telefony, dzięki współpracy telefonisty w Czarsku, nazwiska tej wspaniałej kobiety nie pamiętam, wiem że była mężatką, ktoś czy mąż, czy ona pochodzi z okolicy Lubnia pow. Chojnice. Kiedy raz, w późniejszym czasie telefonicznie załatwiałem przez panią w Czarsku połączenie telefoniczne z Puckiem, dalej z Anną usłyszałem jej ostry głos: "Kto tam przełącza, tu ważna rozmowa wojskowa" i połączenie było natychmiast przerwane. Ciągłe chodziłem, wyjeżdżałem, szukając papieru, farb. Cały czas rozmawiałem z ludnością na tematy dumy narodowej, zachowania się wobec wroga, ostrożności, rzeczowego osądu, nadśluchu. Podtrzymywanie na duchu tak nieludzko traktowanego ośledzonego narodu. Nakłaniałem do niesprzedawania wrogom przedmiotów, tymczasem szkodzić wrogowi, do sabotażu i do jedności w walce przeciw zbrodniczemu najeźdźcy. Spotykałem się również z niepewnymi, którzy byli szpiclami i tak razu pewnego zapraszał mnie taki jeden

niby ukrywający się do lokalu, odmówiłem, ale on pragnął mnie poczęstować wykazując swoje życie uciekiniera. Wyszedł zakupić, a właściciel nastawił władzę miejscowego "bürgermeistra" spotkanie i w końcu naleganiem zapraszał do lokalu. Zgodziłem się, ale do innego lokalu. Po pewnym czasie znalazł się między nami "bürgermeister" jego znajomy i kawałek kolejki i cygary. W końcu zabraniał mnie mówić po polsku wyglądając co chwila czy prawdopodobnie policja już jedzie. Wyczuwając to w końcu zabroniłem mu mówić ze mną po niemiecku, dałem kopniaka Niemcowi i poszedłem. Krótce potem policja aresztowała tego ukrywającego się rzekomo, ale po dwóch godzinach był on już z powrotem. Obserwując to z daleka widziałem dokładnie co to znaczy. I tak minęła zima w ciągłym przygotowaniu drukarni. Klamen w międzyczasie w 1940 roku znalazł kogoś w Czeraku, co poszło mi i do ochrony z wywiadem hitlerowskim. Więc w pierwszej chwili będzie to dobre, będzie można ruszyć. Zaczęły się spotkania i nawieranie znajomości. A miejsce na drukarnię jest już w Jastrzębiu przy Czarnej Wodzie. Więc i częste spotkania w Czarnej Wodzie u Szostaka Mariana. Coraz tam więcej znajomości, jakieś to było bardzo odważnie i lekkomyślnie prowadzone. W pewnym momencie już wczesną wiosną otrzymałem jakieś polecenie by spotkać się z pewnym łącznikiem - pośrednikiem na skrzyżowaniu w lesie pomiędzy Karsinem a Odrami /właściwa siedziba Niemców/ o godzinie 12-tej w południe będę oczekiwany na skrzyżowaniu. Podciągam tam dotąd, ale nie jawnie drogą, ostrożnie lasem, obserwując wszystko i bardzo ostrożnie i to już wcześniej niż o 12-tej. Rzeczywiście na skrzyżowaniu zjawia się ale to policjant niemiecki i stoi od 12-tej do godziny 14-tej. Od godz. 14-tej następuje zmiana i tu poznałem - to policja z Karsina. Za dwie godziny znówu zmiana i tak czekałem do godziny wieczornej, aby się z tego impecu wycofać. Był to jeden wypadek, który nakazał mi

zdwoić czuwanie. Drugie takie wydarzenie ciekawe, dające wiele do myślenia i podejrzenia. Jesteśmy rano pewnego po jakimś czasie w Czarnej Wodzie, był tam i Eleman, Grzonka, ktoś ze Szmaglińskich, każdy miał ze sobą dosyć obciążające kartki z narysowanymi mapkami lokalizacji wroga. Polecono nam noc przeczekać i rano spotkać się w niedalekim stąd leśnictwie. Papierki i zapiski należy najlepiej przechować w ramie rowerowej i rano o godzinie piątej spotkanie. Przed zjazdem ze szosy do lasu i leśnictwa zatrzymałem naszą grupę partyzancką i poleciłem oddanie mi papierków i broni z czym pozostałem na uboczu w lesie, a wy należycie dojeżdżać do leśnictwa, przyjeżdżacie w sprawie pracy w lesie. Co się tu dzieje - policja, po co i komu rewizja osobista oraz w ramie rowerowej. Na pewno tak nie wyglądała sprawa czuwania nad nami lub jak się to nazywało "będziemy krążyć". Nikogo nie zatrzymano, więc co jest, ludzie wystraszeni wracają szczęśliwi, że odeszło się bez wypadku, rozjeżdżamy się do domu. Następne spotkanie w Jastrzębiu u Weltrowskiego i to tam gdzie będzie ukryta drukarnia. Tu po dokładnych oględzinach wszystkiego postanowiliśmy, że wykopimy w szopie, służącej dla powózki, bunkier. Ludzie, gospodarz Weltrowski i cała jego rodzina sprawiali od pierwszej chwili wrażenie najlepszych Polaków. Był tam i Wincenty Szmagliński, który był mechanikiem ślusarzem, będzie moją prawą ręką. Był tam jeszcze i Józef Ebertowski, który chętny był do pracy z jego pięknym wyrażeniem: "Damy tym "paraszewcom". Usgodniliśmy z Weltrowskim i innymi rozpoczęcie budowy dla drukarni - bunkra. Weltrowski sam był doradcą fachowym robót oraz pełnił funkcję obserwatora na zewnątrz, na około, był nadzuchem i właściwą ochroną. Ziemię z wykopu rozplanowaliśmy na około a nadmiar usuwaliśmy w dół do rzeki Czarna Woda, wszystko szło gładko. W wykopie przez chwilę brał też udział Marian, choć już podejrzewaliśmy go o nieostrość, ubrany jak generał

w oficerki i pilotkę jak i jego przyjaciele ze Zblewa również z chorobą długich bóów i pilotce, co rzucało się nadzwyczaj w oczy. Jeden z nich w mundurze porucznika nie pojawił się co prawda, ale nazywało się, że krąży, że krąży dla bezpieczeństwa - dobre mi bezpieczeństwo. I tak w tej pracy i tego ciężkiego i grania nieostrożnego ze strony niedoświadczonych tych ludzi, obserwując wszystko, braliśmy się do pracy poważnej, niebezpiecznej, ponieważ najbardziej zagrożona wydawała mi się rodzina licana o jedenaście głowach od małych dzieci 5-letnich do 18-letniej dziewczyny dzielnej ze starszym rodzeństwem chłopcami i dzielnych rodziców. Gdy już prawie gotowy był bunkier wyłożony grubymi deskami baleni, jeszcze bez zakrycia, które leżało przygotowane obok, przejął Weltrowski na siebie wyszukania wśród swoich znajomych mało, raczej biedniejszych znajomych ofiarnych dla przewiezienia maszyn z Czerska. Więc zebrał kilka furmanek o sprzęgu przekonany, sam miał jednego białego ale mocnego konia. No, teraz nadzieję najgorzej sprawa, aby tylko szczęśliwie, bez wypadku lub rozlewu krwi, bo ile to ludzi byłoby skazanych na zagładę, jeżeli nie na miejscu to w obozie śmierci w komorach gazowych. Anna również dołożyła ręki przy pracach w Jastrzębiu w czasie jej bytności z wiadomościami i materiałami do druku.

Więc ruszamy w słoneczny, wiosenny, ciepły po uprzednim nocnym deszczu, dzień. I tak do południa rano około 9-tej startujemy. Kilka furmanek, wozy kastowe, moi ludzie, Klaman, Grzonka, Bębiński, Szmagliński Wincenty, Julian, Piesik Czesław do ładowania i pomocy pod moim kierownictwem. Dzień był targowy, więc furmanek kręciło się w okolicy Czerska dużo. Pistolety sprzedane czy casyte i czy wszystko działa i dosyć smutnie pod ręką. Chwila pouczenia moich ludzi, by nigdy za wesoło, niepotrzebnie nie zwracać uwagi na siebie, zachować spokój w każdym wypadku, co jest najważniejsze.

W chwilach niebezpiecznych również czekać na rozkazy. Jedziemy - na śmierć lub życie, dla Ciebie uwieczniona Ojczyzno, na bój z tym najgorzszym chyba na ca-łym świecie zbrodniarzem, który śmiał wejść siłą i mordować niewinnych i to najlepszych synów twoich, który targnął się nawet na kobiety bezbronne i dzieci, po to tylko, by opróżnić teren dla swoich, synów morderców. Który tyłu dobrych już ludzi w Szpegawsku, Sztutofie i innych powiatach, w Fiańnicy wymordował bez zarużenia oka, z własną krwią. Podaliśmy sobie dżonie przed wyjazdem i w braterskiej jedności świadomi nie dla poklasku, nie dla kogós, tylko dla najświętszych uczuć polskich serc.

Z pomocą tego sprzętu, po który ruszamy wołać będziemy, będziemy Głosem Serca Polakiego. Nawoływać będziemy do jedności w walce celem stworzenia jednego frontu zgodnego, by złączoną siłą stawić opór tej zmurze z trupią czaszką, tej szaranie, która oprócz morderców dużo może pozostawić po sobie złego na przyszłość.

Prawie zniechęceni na to bardzo niebezpieczne przedsięwzięcie spokojnie, z "Szczęść Boże" rozjechaliśmy się w kierunku wyznaczonym, po maszyny mające według życzenia wyrażonego nam z Anną przez p. Cenkową służyć Polace lepiej, niż zabrad to mieliby hitlerowcy.

Wszyscy spotkaliśmy się prawie że razem na wyznaczonym miejscu. Wjechaliśmy na podwórko, które było bez osłony od strony drogi w nowych osiedlach Czerska. Furmanki ustawiły się kolejno gotowe. Zaczęło się ładowanie, co szło dosyć sprawnie, bo rąk było dostatecznie dużo do czynu. Gdy tu nagle w trakcie załadowania ktoś z obecnych zauważył, że policja skręca z miasta w naszym kierunku na rowerach, uzbrojeni w automatyczną broń, pewnie jadą na obławy do lasu, było ich dziesięciu. Wszystko zamarło na moment w bezruchu. Reszta części maszyny, stołu urządzenia do cięcia papieru, a była tych drobiazgów ca-ła moc, znajdowała się jeszcze wyniesiona z szopy na podwórzu lub w szopie. W ugnieniu oka prze-

leciał przez myśl prawie wszystkich koszar chwili srogiej, wielkiej, decydującej, zdawało się, że wszystko przybrało podać inną, jak to co nas dotąd otaczało. Będzie to pierwsza może rozgrywka, w której hitlerowcy poznają jeszcze jeden moment swego upadku, smak przegranej, słazanego skrzydła, które w kierunku na wschód buta te skierowała. Poznają ciężar gatunkowy swego przekroczenia popełnionego na narodzie, który mija swój kraj, swoją Ojczyznę, dręczonego od długich lat, może od wybryków krzyżackich, od nawracania ogniem i mieczem.

Może chwila porozumienia, że na smak pierwszego wystrzału wszystko się rzuci przez niaki perkan na wroga. Każdy strzał musi być pewny, zdobyć broń automatyczną, swycięstwo musi być nasze.

Patrol policji zbliża się, wszystko szło jak w bajce, rzuciłem komendę już trochę przyciszoną, ładujemy spokojnie dalej i na moją komendę. Na ucieczkę nie było czasu ani sensu, na mój znak kilku ukryło się ludzi w szopie. Mimo woli ręka wleciała mi do kieszeni i zdusiłem mocno pistolet w pierwszej chwili, który natychmiast się spocił w dłoni. Ale opamiętanie zalecałem i to będzie najlepsze. W największym spokoju, stojąc o cztery metry od niskiego płotu nad drogą, którą zbliża się oddział policji wydawałem polecenia ładowania to śelszo na tamten wóz, a tamto na ten wóz. Polioja przystaje na moment, nie schodząc całkiem z roweru, przy płocie po drugiej stronie i przygląda się naszej sprawnej pracy ładowania. Udaję ważnego Niemca, może inżyniera, uszanowanie w ich pojęciu. Chwila ciszy, wszystko pracuje spokojnie według zaleceń. Choć dzień był słoneczny zdawało się, że ciężka jakaś chmura zawisała nad nami i chce złowrogo łaże moment wylać swe wody i zalać wszystko co szpeciło i co wznosiło w unikowanym naszym kraju. W tym czasie Niemcy widocznie przekonali się, choć dziesięciu ich było, głupie jak zwykle, że to praca "Für den Sieg", dla Führera, bez słowa odjechali w dalszą drogę, widocznie spiesząc

im było. Gdy odjechali i to dosyć już daleko obserwowani, nastę-
piło odprężenie było to tak nawet, że nie wiadomo czy ładujemy
części maszyn na wozy czy konie. Aż zaczęły oczy błaskiem walki,
zwycięstwa, krwi, kolor oblicza nabrał blasku biało-czerwonego
naprężenia, zaczęto w końcu dowcipkować, padła nawet uwaga, że
po twarzach zbredniarzy zauważono rozterkę, wahanie, niepewność,
strach i podejrzenie, w końcu lepiej się oddalić. Nasza droga
wolna, bo wiodła w przeciwnym kierunku, do Jastrzębia. Ostatni
wóz w białego konia, waltrowskiego i syna Dawida rusza ze sobą
do miasta po czcionki. Męstwo to i odwaga godna najwyższego
szacunku tym ludziom, w samym środku miasta załadowaliśmy wóz
w ciężar to był nieładajski. Głosem skrzyń z przedziałkami
z czcionkami i dwie worki obrotu, blaszek i inne drobiazgi.
Ruszamy do domu, rower swój wsunęliśmy również na wóz, są dawa
nam paubraty, zaczęło to znów "die polnische Bunde" Tak, "die
polnische Bunde" - ciężki się serce Polaka, że za pomocą tego
co robimy zdolamy informować wszystkich swoich, cały nawet
kraj, do jedności w honorze i zgodzie, że nawet szklanki wody
od tych morderców Polak nie przyjmie. Pamięć walecznych przodków,
teraz już w zgodzie, na wzór zwykłego żołnierza ostatnich walk,
nawet na wzór kosynierów, jak to miało miejsce w Gdyni, wypro-
stujemy kosa i spadać będą łby tej zmiłi. Nikt nie splami swego
honoru polskiego, nie przystąpi do bandy morderców.
Aż tu u wylotu miasta idzie oddział młodzieży hitlerowskiej
"Hitlerjugend" i ich dowódca, taki podkasany 17-letni kroczy
butnie chodnikiem obok, oddział na proporczyk, wóz z czcionkami
nija i jedzie dalej, ja idę chodnikiem nieco z tyłu, mijam
także oddział z proporczykiem nie zdejmując nakrycia głowy,
czy nie stojąc frontem przed cudownym przemarszem. Zatrzymał
mnie ów dowódca i grubiańsko wyzywa zatrzymując oddział.

Staliśmy tak, on tyłem do oddziału i się domawiamy, pyskujemy obaj, przyznać muszę, że choć czułem, że górąją wyumą, jednak sytuacja staje się już nawet trochę nieprzychylna dla mnie - czułem to, że będzie źle, szeregacze hitlerowscy położyli pro-porczyk na chodniku i zaczęli swoje herce, odważniejsi zaczęli się zbliżać, było trochę po deszczu z nocy. Tu wykorzystalem ten moment i doszło do tego, że zacząłem nagle obrzucać opi-tetami niemieckimi owego drania za porządek i poniewiarke chorągwi i dałem rozkaz uporządkowania oddziału i odmaszerowania - wniosę meldunek - i znów minęło jedno niebezpieczeństwo po-syólnie dla nas.

Na miejscu w Jędrzejówku robiło się teraz całkiem wesoło, pracy było pełno, jest do dziś tajemnicą dla mnie jak Weltrowski podolał wszystkim - i pracy w polu i z nami. Szybko zabrałem się oświadczyć z Wincentym do ulokowania maszyny rotacyjnej w bunkrze a reszta zajęwała się pokryciem wszystkiego sufitem i zamaskowaniem. Wszedł, było to kłopot z płaskim nowym jeden był stopień wysoki i drugi w bok do bunkra, w tej kłopot stało koło podłogi, wzięłem lampę sieliszey naftową, zacząłem od razu montaż maszyny. Brakujące części dorabiał Wincenty szmagliński według mojego projektu. Pracowaliśmy przy składaniu pół dnia, potem wielki gunowce trzeba było doroobić z węża gunowego do wody. Zrobić ramę z kątownika do matrycy, bo brak było tego wszystkiego. Najwięcej jednak pracy pochłonęły i czasu przebieranie czcionek czarnych przy słabym oświetleniu. Pracę tę zajęta była cała rodzina Weltrowskich i wszystkie dzieci. Więc ojciec Weltrowski Józef, żona Genowefa, dzieci: Dawid, Regina, Józef, Zygfryd, Genowefa, Jan; szmaglińska Marianna, matka Wincentego, był ich znajomy Ebertowski Ignacy,

który w pracy co chwilę dodawał: "te parazyty hitlerowskie".
Podziwiać trzeba, że te dzieci z tej wioski małej, tak sobie
radę dawały. No, a co najważniejsze, żadna się nigdzie nie
pochwaliła w wiosce, co się dzieje, wszystko pozostało w naj-
ściślejszej tajemnicy. Gotowe literki i umyte w ropie czy
nefcie, wyosuszone wędrowały do przedziałki, skrzynia ustawiana
była pod stalikami okładonymi obok maszyny rotacyjnej. Smarowanie
maszyny, badanie funkcjonowania, doposażenie wszystkiego po-
trwało niezbyt długo, robota szła, chyba bez snu, pomieszczało
się nam w tym podziemiu chyba wszystko i w czasie, wszelkie
zrobiono próby i hejba, co osobliwie wysłuchiwałem w różnych
okolicznościach, dnia, nocy, kierunku wiatru, pogody, przed
i za rzeką, w odległości i pod każdym względem, wpłynęło już
i nieco papieru, natrosz taka była, tylko że papier pierwszy
był kiepski. Zdobrzyłem też farby kilka tubek, czarną, niebieską
i czerwoną, ale przeważała czarna, że zblona z mleczarni wpły-
nęło trochę pomocy w formie masła dla odżywienia. Trochę też
wpłynęło artykułów rękopisów do naszych własnych. Był i artykuł
Stanisława Duraja, więc przystąpiłem do składania stronicy
pierwszej, nagłówka "Głos Serca Polskiego" i reszty jak właś-
cina gazeta na wzór by uraził "Danziger Vorposten", wincenty
zrobił ramę matrycy, jednak chodziło przy tym o kąty, a ja
w palcach składałem wierz za wierzem i tak trzeba było złożyć
tego więcej, jedną całość na stronice wyznaczono i dzień druku
kompletnej gazetki. Było to w naszych uczuciach całego domu,
jakieś wielkie święto, stawiła się i Anna i jej jako mój
pierwszy współnik przypadło w udziało wydrukowania naszej
pierwszej kompletnej gazetki i tak zrobiliśmy w tym pierwszym
dniu paczuszkę, może 400 sztuk, z czego oprócz pierwszej, którą
ulożonoła Anna przy sobie, powędrowała pierwsza setka do

Wojherona, Gdyni, Fucks. Dależe odbierali nasi ludzie - szmugliński Julian i Piesak Czesław pod Tczew, Kiamen - do Karaina, Stanisław Duraj z PPS - Lewice, w okolicy Szeraka dodatkowo, szóstek do Czarnaj wody i Gworska, Grzonka pod Starą Kiszewę i dużo innych, Bielowski do Wielu, jakiś chorąży pod Tuchelą, też i Szalewski.

I tak poleciały pierwsze gazetki by zostały czytane, by wędrowały do innych, by objęły wołaniem naszym cały naród walczący z hitloryzmem. Pielisły też o bojach na frontach, nastrojach na świecie, z nawiązaniami do postawy prawdziwie patriotycznej Polaków.

Po tym wielkim święcie należało trochę poczekać na skutki tego co się stało i chyba zaczęło już robić popłoch w szeregach wroga. Pierwszy nekrop był niezbyt wielki, wyszło około 2000 egzemplarzy. Odtąd jeszcze więcej obsuwało się pracy z przygotowaniem dalszego wydania. Nakryć było okłady, tj. tytułowa oraz dalsze trzy strony. Ponieważ przestałem ufać naszej ochronie tej i All wyruszyłem sam w teren do różnych miejsc by wysłuchać co się dzieje po tym pierwszym wystrzale w kierunku wroga. Różne przebiegały w tym objeździe przygody. Spotkanie ze Stanisławem Durajem było przyjemną egzemplarze rozdane wśród swoich przyjaciół. Na razie wszystko było tam w porządku i cicho, w Wielu również wszystko w porządku. Jedyną w lesie między leśniczymi wiele a Łankian spotkał mnie mały incydent. Dotąd nie wiadomo, z której to ręki padł strzał z odległości może 300 metrów. Kulka przeleciała mi przed nosem może w odległości pół metra, drugi strzał nie nastąpił, przez co przypuszczać było można, że to ktoś dla zabawy sobie na coś podobnego pozwolił, bo różni kręcili się po świecie i ludzie ścigani i zbrodnicze, mógł być i policjant lub jakiś

ich pomocnik, Pod Starą Kieżewą, u Józefa Grzonki też wszystko w porządku, gazetę ścisłano wszędzie jako coś własnego, jako rękę, którą podałem w tym opuszczeniu najlepszemu przyjacielowi. W powiatkach starogardzkim i toczewskim u Julka Szasglinińskiego i Czesława Piszika również wszystko na razie w porządku, więc wracam do Jastrzębia do drukarni, a tu już coś jest. Czeka kolporter spod Tucholi, nazwiska już nie pamiętam, bo czasu upłynęła długi, a nototek ze względu na ostrożność, nie robiłem, i co się tam dzieje - przedkłada mi ów chorąży gazetkę "Głos serca Polskiego" tylko mniejszy egzemplarz nr 2-gi o jednej stronie, połowę, czy to przez nas drukowane - treść podobna. Po głębokim zastanowieniu się przyzliśmy do przekonania, że to podstępny chwyt kontrwywiadu hitlerowskiego, by tą drogą wdrapać się w nasze szeregi, by wykopać wszystkich i dojść po nitce do centrali i frunafować, ale nie damy się. Pracujemy dalej, montując następny nakład. Anna przybyła, by zdać relację ze swojej okolicy, z nastroju, przyniosła materiał do dalszej roboty. I o zagrożeniu, z doniesieniem smutnym, że rodzinę moją z Orłowa wyrzucili hitlerowcy z własnego domu w chwili, kiedy piątro zdawali połudownie, w eurofym jeszcze co prawda stanio, wprzód dali rodzinie pozwolenie zasiedlenia, co było przy czyną aby nie zabraли materiału budowlanego, cegła, parkiet, dach, który to z ojcem ponosiłem, jeszcze stawiając na strychu. Pozwiali wprzód rodzinę do przyjęcia grupy. Sporkali się z odnową. Następnie znaleźli właściwy powód, to ten, że syn nasz chciał Odrę mieć granicę Polski z Niemcami, gdzie on jest, szukamy go, nie ma go, nie żyje, nieprawda, on jest za sprytny "der polnische Hund - aber raus, ihr polnische Hunde". I tak wyładowali chorzy w Orłowie przy Placu Górnośląskim ze swojej własności - opowiada Anna. Zainteresowali się i odnowili

zamieszkania w mieszkaniu łożysym, dla was tylko w cementowym
 składziku po rzednictwie. Uważamy tym, przecież i ja budowałam
 ten domek wspólnie, są tam i moje pieniądze i praca, miało to
 być mieszkanie dla całej rodziny, gdzie i Anna będzie mieszkała
 we własnym po tej okropności rabunku i życia i mienia. Zarzą-
 dziłam przerwę w pracy w drukarni i jadę z Anną do Urłowa po-
 cieszyć swoich, że to niedługo już, na wachodzie Rosjanie ze-
 łanią im rozpostarte skrzydła zbójckie i wróciny do swojego.
 Na miejscu stan opłakany, wszystko chore, Siostra Jadwiga, która
 zatrudniona do pracy w zakładach lotniczych w Gdyni, musiała przy-
 głądować się ogrodekowi na siedmiu Polakach, załamana nerwowo,
 Matka chore, kółka wilgotne. Z drugiej strony pełno entuzjazmu
 - ojciec i siostra Agnieszka podzielić się nie mogą odwiedze
 i poświęceniu Józefa i Uki w jego gabotkach
 w parcie, w ukryciu sidła, Teraz tam różno drobiazgi i
 spłuczki i przesydy, wszystko jest potrzebne. Po odjeździe Anny
 w swoje strony, postanowiliśmy zamieszkać się na tym oberaturafthre-
 rze 30 Czerwca, który ma mieszkanie w naszych oszczędnościach.
 Pełen goryczy i zawziętości wybrałam się na ul. Przebendowskich
 /..... / by zgłosić na zamore jedną kmię bestialską
 dla pozeru z pistoletem i aparatem fotograficznym jak zwiedz-
 jący Nisiec podążam do celu, Idąc tak widziałam już jak krew
 tego szantażysty przyskocze po naszych ścianach i widziałam siebie
 bogatego o jeden pistolet w moim bunkrze przy maszynie rota-
 cyjnej. Blisko już celu, dochodząc do poczty w Urłowie, nagle
 odezwało się przeczucie jak zwykle, spokoju, doczekasz się,
 masz jeszcze duże roboty, Gdy to zrobisz mogą wymordować
 wszystkich, rozważaj, którą stałe zalecałam, nie bądź tchórzem,
 ale nie bądź porywczym, masz ważne zadanie. No i tak też
 zaimponowałam swój zamiar, Zbliżam się, przy domu cieszę, znajomych

nie spotkałem, co ich wyrzucili w międzyrzecio, przeważnie spotykałem obcych, to Niemcy i szwajcarski w hitlerowskich mundurach i jakiś brunatny z tej zeraży. Na szczęście dom pusty, nikogo w obejściu, ani we wnętrzu. Okna bez naszych firan, wszystko jak dawniej, tylko że bez życia, bez tej polkiej duszy, tak jak w chwili wyrzucenia z domu, więc co robić, aparat fotograficzny stuknął razie na pasku, sła o to chodzi, Zrobiłem na pamięć zdjęcia tego co tam zostało i odeszedłem zawstydzony, jak pies wygnany. I do nowego domu rodziny, spojrzcie na nędzę tych ludzi, którzy usiłowali oszczędzić, piszę chodzić, by kupić choćby jedną dagę z Gdyni do Orłowa, ja też tak robiłem. Sól potęguje się, parę chwil poruszenia w tym domu u rodziców, gdzie skulona ciężka cała Polka, gdzie każdy sprzęt i każde tchnienie miało wyrażać polski wygląd. Rozszalony tyś, wracasz do swojego trudnego przedsięwzięcia, by dalej być tyś, za którego zrobiło nas z Anną przeznaczenie. Tak po przyjeździe do Jastrzębia do Wójtrowskich, jak dawniej do Lechu, do maszyny rotacyjnej, gdzie rozpoczęta praca. Nos chyba całą przesiadaliśmy z Wincentym w tej ciemności, jej kąca, którego szef zawsze uważał na odległość kwestionował, że brak tam pół milimetra. Kiedy i gdzie słońce wschodziło i zachodziło, nie wiedzieliśmy, wystarczyło nam, że Józef Wójtrowski, ojciec tej grubejki, powie nam, że już czas na obiad, a żona jego przez dzieci przywieź śniadanie lub inny posiłek. Papiarcey od Anny lub coś na pokrzepienie, trochę mocniejszej od wody, przywiezione z okolic Pucka.

Po powrocie, po kilku dniach kiedy układamy nakład, nagłe przyjeżdża geniec z Gdyni-Orłowa z doniesieniem wpadki kuriera warszawskiego, jadącego od kpt. Szprunego. Kapitana zabrali już, widać kurier sypie, moje również tam było nazwisko, ze względu

na drukarnię, była i gazetka nasa rzekomo. Po odjeździe gońca donoszą nam w Jetrzędzu, że jakiś ksiądz pojawił się w wai i otoczony przez kilka kobiet uprawia praktyki religijne. Kobiety celują krzyż, wszystko małe znaczące, zachować spokój i uzbroić się w cierpliwość, o wszystkim powiadomić i wszystko obserwować. Nagle ów ksiądz odłączył się od wierzących kobiet i pośpiesze zbliża się jak niezachęśliwy do naszych zabudowań. Dwa gospodarstwa rozdzielał płot, ogrodzenie podwórza i dwie furtki obok siebie do jednego i do drugiego. Wpada tak jak robi to ścigany do sąsiada. Zorientował się, że to nie tu i szybko wybiega do furtki i wpaść do nas. Uciekam, mówię, przed gestapo, uciekłem ze sztuthofu, jestem zmęczony, jestem księdzem i chciałbym się dostać do ka. kryzys. Nastrój był trochę dany. Mówiono mi o tym natychmiast. Polecieć było ostrzeżenie, nie mówić. Powiedziałem mu, że jest tu niebezpiecznie, są obławy. U was nie można się zatrzymać. Powiedziałem mu, że macie gościa, krennego z Berlina. Na to wygląda, że ów niby ksiądz, ten pan nie jest z Berlina, on jest z Gdyni. Gdy mi to powiedziano, musiałem reagować. Dać go tu, zbadać co to jest, o rozmowie udawał członka wystraszona. Namówiłem do praktyk religijnych, czy czuje się odprawić nabożeństwo, odpowiedź była nijaka. Zaczęłam operować łaciną, była to dla niego chińszczyzna. Podałem mu modlitewnik i "Asperges me" by odczytał, ale było to ciężkie, kompletny analfabeta. Kazalem go wyprowadzić gdzieś daleko, do spokojnej niby miejscowości, by nie potrafił wrócić. Na nie to, wrócił wcześniej, niż wysłany komandant wincenty sznagliński. Chciał przenocować, owszem może, i daliśmy mu łóżankę na środek pokoju i jedno krzesło na ubranie, by w nocy zabrać ubranie i zjechać. Drzwi kazalem wyjść i zamieścić kocem wejście by nie było słychać. Ale pięciokrotne próby wejścia

wincentego na skarpetkach przyjmował każdorazowo siedząc -
nie spał, zjedzony niby. To dało mi powód, że rano wyjechałem
do Berlina. On także poszedł szukać ko. Wryczy. Po tygodniu
wrócił i okazując moje zdjęcie, to samo, które miało gestapo
- z tym chce się spotkać. Naturalnie wiadomo było już, dokąd
te prowadzi. Robota szła dalej, w zdwojonej ostrożności.
Gazety odchodziły w naczyniach do mleka i wszystko odbywało
się odtąd drogami zupełnie tajnymi, w izolacji nawet przed
snoimi. Co chwilę nowe nadchodziły swoich us^z wiadomości, należało
być jeszcze bardziej czujnym. Nie była to robota po to, by
tracić najlepszych Polaków, ale była to praca w walce z hitle-
rowcami. W końcu 1943 roku w czasie wczesnej wiosny, stawał
się czas coraz groźniejszy. Hitlerowcy już wiedzieli, że w tę
naszą stronę wysłali się, wchodzi jakieś okrągłe paczki,
a wychodzi mleko za mleko lub paczki. Jak w końcu było za dużo
w okolicy gestapo, zatrzymanie i już rewizje, więc trzeba
było z koniecznością zabrać wszystko i szukać ślady i to przy-
padło w czasie, kiedy rewizja się odbywała w najbliższej okolicy
i już w Jastrzębiu na skraju wioski. Wówczas z waltrowskim
wyciągaliśmy części maszyn do pobliskiego lasu i tam obłożone
gałęziami soson przechowywaliśmy całość w ziemi do czasu aż
ustanie niebezpieczeństwo. I tak w maju 1943 roku nie strac-
liśmy nikogo zmieniliśmy swoją robotę, przechyliwszy pracę
do oddziałów wojskowych, co stanowiło może temat do nowego
opracowania. W końcu dodać wypada, że ów szpicel wydawał
w innej okolicy, niewinnych dobrych Polaków, w końcu zaku-
szoną spotkał nagrodę za swoje bestialstwo.

M-190
32
11. 11. 1949

Relacja o działalności nieżyjącego członka konspiracji

Ludwik Kossak-Główczewski - ps Japan

Ludwik Kossak-Główczewski urodził się 15 sierpnia 1905 roku we wsi Huta w powiecie Chójnice. Syn Bolesława i Anastazji Wnuk-Lipińskiej. Ojciec był nauczycielem w Hucie, a później, po wyzwoleniu, we Wielu. Ludwik do czasu śmierci mieszkał w Gdyni-Orłowie 81-543 ul. Przebendowskich 30. Obecnie dom rodzinny zamieszkują synowie Kazimierz i Tadeusz. Ludwik zmarł 20 września 1969 roku w Orłowie.

Posiadał półwyższe wykształcenie muzyczne. Szkołę podstawową ukończył w Hucie, w 1919 roku wstąpił do progimnazjum biskupiego w Pelplinie. Po roku przerwał naukę w związku z wypadkiem - stracił oko. Pracuje następnie w branży bławatniczej. Przerzywa jednak pracę i w 1924 r. podejmuje naukę w Salezjańskiej Szkole Organistów w Przemyslu - kończy ją w 1928 roku zdobywając zawód nauczyciela i organisty. W tym samym roku przenosi się wraz z rodzicami i siostrami do Gdyni by jesienią 1928 roku podjąć pracę w prywatnej średniej szkole - gimnazjum, dra Zegarskiego. Będąc w niej wychowawcą i nauczycielem muzyki uczęszcza do prywatnego konserwatorium w Wolnym Mieście Gdańsku. Konserwatorium kończy w 1932 roku uzyskując świadectwo ukończenia dwóch wydziałów: nauczyciela muzyki oraz teorii muzyki z organami jako instrumentem głównym. W tym czasie pracuje dorywczo w diecezji chełmińskiej jako organista. W lutym 1934 roku podejmuje stałą posadę organisty w Klonówce /k. Starogardu Gdańskiego/. A w 1936 roku - po egzaminach organistowskich - przeniesiony zostaje do Starzyna w powiecie puckim. Tu zastaje go wojna. Z uwagi na brak oka posiada kategorię wojskową "E", jednak uczestniczy w obronie Gdyni /obrońca cywilny/. Trafia do obozu w Gdyni-Grabówku. Dzięki podstępowi /udział Anny Szomburg/ udaje mu się wydostać z obozu /dzięki posługiwaniu się dwoma nazwiskami/

gdyż legitymuje się starym dowodem na dwa nazwiska, a Niemcom był znany pod jednym nazwiskiem. Jest poszukiwany przez wroga za przynależność do Związku Zachodniego i za swe antyfaszystowskie poglądy. Ukrywa się najpierw u Matyldy Szomburg /siostry Anny/ na Pustkach Cisowskich w Gdyni-Chyloni, a następnie przenosi się do Górek koło Wiela do krewnych Trawickich. Tu styka się z tzw. "bunkrarzami". Utrzymuje kontakty z pozostałymi krewnymi i znajomymi. W ten sposób zdobywa drukarnię po doktorze A. Zemke /zamordowanym przez Niemców/ oraz dzięki p. Manieckiej z b. "Pielgrzymą" papier i farby drukarskie. Dzięki rozległym znajomościom np. z Chabowskimi z Marwila, Julianem Szmaglińskim z Klonówki powstaje myśl założenia i wydawania konspiracyjnej gazety. Nawiązane zostają kontakty z "Gryfem Kaszubskim" głównie przez Jana Klamana., Mariana Szostaka itd. Po zaprzysiężeniu przez ks. Wrycę Ludwik Głowczewski przebywa do Czarnej Wody do grupy Obóz Konspiracyjny /Szostak/ do której należeli już w Jastrzębiu Dawid Weltrowski i Ignacy Ebertowski. Na początku kwietnia 1941 roku nawiązuje kontakt z por. Janem Szalewskim, który polecił Ludwika Józefowi Weltrowskiemu z Jastrzębia - gospodarzowi. Na terenie gospodarstwa Weltrowskich powstała w ten sposób konspiracyjna gazeta. Wydawana była bez przerwy od 1941 roku do 1943, a nazywała się "Głos Serca Polskiego". Z działalnością gazety związana była grupa ludzi, m.in. przysłała żona Ludwika - Anna. Działalność gazety została obszernie opisana na łamach "Pomeranii". Wspomnienia na ten temat przedstawił również Józef Weltrowski-junior, ~~na~~ znajdując się one w Klubie Historycznym ZK-P w Toruniu u p. doc.dr hab. Elżbiety Zawadzkiej.

Po wojnie Ludwik Kossak-Głowczewski powrócił do Starzyna, ożenił się z Anną Szomburg. Prowadził rozległą działalność społeczną: tuż po wojnie zajmował się dyżenifikacją, założył szpital w Starzynie, był współorganizatorem OSP w Starzynie i kilkuletnim szefem kultural-

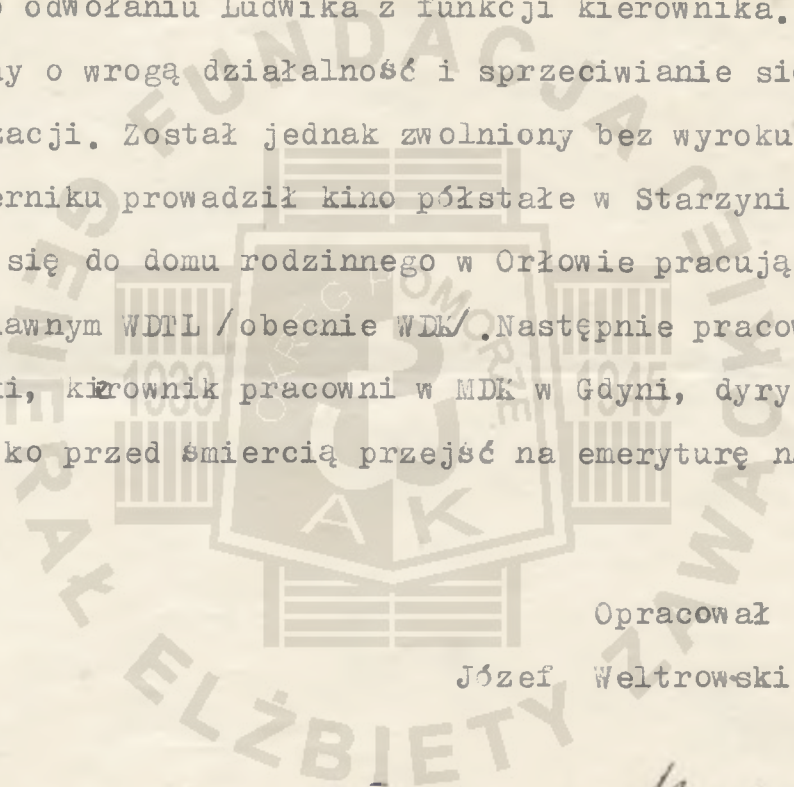
oświatowym w tej OSP. Między innymi był organizatorem zespołu ludowego /wspólnie z J.Piepką/ o nazwie "Béloce". Jego żona, Anna, była przewodniczącą Koła Gospodyń Wiejskich. Zespół ludowy którego Ludwik Głowczewski był kierownikiem artystycznym miał własne audycje muzyczne w PR w Warszawie. W tym czasie pracował jako organista i nauczyciel w szkole podstawowej w Starzynie ucząc muzyki i j.angielskiego. W okresie stalinowskim musiał przestać pracować w szkole, zespół ludowy na znak protestu rozwiązał się po odwołaniu Ludwika z funkcji kierownika. Był aresztowany i oskarżony o wrogą działalność i sprzeciwianie się przymusowej kolektywizacji. Został jednak zwolniony bez wyroku. Następnie, po październiku prowadził kino powstałe w Starzynie. W 1958 roku przeniósł się do domu rodzinnego w Orłowie pracując jako instruktor muzyki w dawnym WDTL /obecnie WDK/. Następnie pracował jako nauczyciel muzyki, kierownik pracowni w MDK w Gdyni, dyrygent zespołów, by na krótko przed śmiercią przejść na emeryturę nauczycielską.

Opracował

Józef Weltrowski

Józef Weltrowski

7 11 89



1/2. Dokumenty - Gossak - Głowacki
Ludwik

1. Oryg. "kennkarta" nr 0651809 + kserokop.
str. wewnętrznej i okładki k. 5 s. 1-8



k. 5 s. 1-8

- 1) Karta (oryginał)
- Kossak - Głównowski ps. „Japan”
(zdj. = dzieło ikonografii)



DEUTSCHES
REICH



KENNKARTE



Zgłoszenie.

Zaj. III. 451

Milicja Narodowa

DEUTSCHES
REICH



KENNKARTE



Kennort:	Konitz-v/p
Kennnummer:	A 00 243 144
Gültig bis:	20. Oktober 1949
Name (bei Frauen auch Geburtsname)	Glaworewski
Vornamen (Rufname unterstrichen)	Josef
Geburtsdag	15. August 1905
Geburtsort	Stille pro. Konitz
Beruf	Späher
Unveränderliche Kennzeichen	Einmaliges Mals a. d. l. Schulter
Veränderliche Kennzeichen	fehlen
Bemerkungen:	Schutzangehöriger (Eingetragene Besondere)

A Nr. 0.651809 *

(Lichtbild)	(Abdruck des linken Zeigefingers)
(Blutabdruck)	
Josef Gloworewski (Unterschrift des Krankenträgerlehrlings)	
Konitz-v/p den 20. Okt. 1949 Der Kommandant des Freies Konitz Kreispolizeiverwaltung (Abteilende Schrift)	
(Unterschrift des ausfertigenden Beamten)	



6

A 212 (6. 45)
Reichsdirektion Berlin



II. Materiały uzupełniające relacje -
Kossak - Głowacki Ludwik:

1. Przedruk fragmentów książki Zbigniewa
Gacha pt. "Jeden z Wiele w

"Pomeranii":

- "Jeden z Wiele "japan", Pomerania,
nr 11/1985 k. 2 s. 1-3
- "Na Bostkach", Pomerania,
nr 1/1986 k. 2 s. 4-6
- "Kostuchy", Pomerania, nr 3/1986 k. 1 s. 7-8
- "Weltrowscy", Pomerania, nr 4/1986 k. 1 s. 9-10
- "Akya D", Pomerania, nr 5/1986 k. 2 s. 11-13
- "Jest", Pomerania, nr 6/1986 k. 2 s. 14-17
- "Pupilek", Pomerania nr 8/1986 k. 2 s. 18-19

2. art. Romanowski H., 30 lektur

"Japany", Kociński Magazyn Regionalny,
zesz. 6 z 1989, s. 75 k. 1 s. 20

3. Weltrowski Józef, życiorys Kossak-

- Głowackiego Ludwika, mpis, data
wpływu 16.07.2001 k. 3 s. 21-23

4. Weltrowski J., biogram "Kossak - Głowacki
Ludwik", [w:] Stow. biograf. komsp. pomorskiej.

1939-1945, Toruń 2001, z. 5, s. 76, mikro-

kop.

k. 2 s. 24-25

Jeden z Wielu

Zbigniew Gach

Można powiedzieć, że bardzo niewiele zostawił po sobie śladów. Zapisany przezeń w 1969 roku, tuż przed śmiercią, cienki brulion to jedynie garść poczochnych wiadomości o epizodach z własnego życia. W dodatku do 1984 roku leżał ów brulion niczym relikwia u jednego z najbliższych podkomendnych, gdyż tymczasem wymarła większość tych, którzy jeszcze coś wiedzieli.

Różnych w czasie wojny używał nazwisk. Podawał się za Jana Kowalskiego lub Jana Klamana (zwierzchnik z partyzantki), niekiedy stawał się Józefem Głowczewskim albo Ludwikiem Kossakiem, używał też pseudonimu „Japan”. Naprawdę nazywał się Ludwik Kossak-Głowczewski i był synem wielewskiego nauczyciela Bolesława oraz Anastazji z Wnuk-Lipińskich. Urzędnikom hitlerowskim opowiadał się jako rolnik, traktorzysta lub stroiciel fortepianów. W rzeczywistości miał półwyższe wykształcenie muzyczne, choć w czasie okupacji najdłużej pracował jako drukarz podziemia. Świetnie władał językiem niemieckim i to — kiedy chciał — dialektem berlińskim, a wszystkie owe „det” zamiast das (to), „ikke” zamiast ich (ja), „weess” zamiast weiss (wiem) kilkakrotnie ratowały mu życie. Nieźle posługiwał się także angielskim i łaciną.

O dzieciństwie i wczesnej młodości Ludwika Kossak-Głowczewskiego wiadomo tylko tyle, że urodził się 15 sierpnia 1905 roku we wsi Huta, powiat chojnicki, dokąd Prusacy przenieśli z Wielu jego rodziców za manifestowanie polskości. W przepisanyemu wieku ukończył prowadzoną przez ojca szkołę powszechną w Hucie, po czym wstąpił do progimnazjum biskupiego w Pelplinie, czyli słynnego Collegium Marianum, zwanego przez uczniów „Collegium Marcepanum”. Szkoły tej nie ukończył na skutek wypadku, jakiemu uległ przy wakacyjnym zbieraniu torfu. Pchnięty zniecka przez swego młodszego brata Dominika, upadł twarzą na ostry korzeń, tracąc lewe oko. Po wyleczeniu rany i zakażenia został wolontariuszem branży blawatnej w Starogardzie. Posunięcie to podszeptą mu prawdopodobnie dziadek ze strony matki — znany wielewski kupiec Jan Wnuk-Lipiński.

W 1920 roku, po przejęciu części Pomorza przez wolną Polskę, 6-osobowa już rodzina Kossak-Głowczewskich powróciła do Wielu, otrzymując od miejscowej społeczności obraz pod tytułem „Konstytucja” (zaginął podczas II wojny). Niedoszły subiekt musiał się wtedy zetknąć z osobowością i talentem muzycznym znanego kaszubskiego barda Wicka Rogali. Choćby dlatego, że wyniósłszy z domu podstawy gry na fortepianie, zaczął działać u progu lat 20-ych w młodzieżowym zespole muzycznym założonym przez młodszego kolegę Wicka, Antoniego Skwierawskiego, mieszkającego do dzisiaj w Wielu.

Jesienią 1924 roku opuścił Ludwik rodzinne strony, podejmując naukę w Salezjańskiej Szkole Organistów w Przemyślu, o której wiadomość wyczytał któregoś razu w prenumerowanym przez ojca „Przewodniku Katolickim”. Żeby się do niej dostać, musiał zdać egzamin wykazujący wstępne predyspozycje: muzykalność, znajomość nut i jakąś taką grę na fortepianie. Ojcowie salezjanie nie wypuszczali ze swojego zakładu adeptów fałszujących pod nosem Pana Boga, toteż nauka stała u nich na stosunkowo niezłym poziomie. Poza grą na harmonium, organach i instrumencie dodatkowym (zwykle były to skrzypce lub trąbka), w programie znajdowała się muzyka gregoriańska, harmonia, historia muzyki, kontrpunkt, a także liturgia, religia i buchalteria, jako że organiści w parafiach często zajmowali się również katechezą i księgowością. Większości przedmiotów uczyli sami zakonnicy, choć było także kilku nauczycieli świeckich, na przykład tajniki gry organowej przekazywał znany późniejszy wirtuoz Feliks Rączkowski. Czapki uczniów szkoły organistowskiej były ro-

zrywkami z harfą w miejsce orzełka i srebrnymi guzikami, zaleźnie od roku nauki, sznurkami.

Wykształcenie starszego syna kosztowało ich około 100 złotych miesięcznie, w tym już internat i wyżywienie (krowę ceniono na 200 zł), ale trudno dziś powiedzieć, czy było to dręczące obciążenie dla budżetu Bolesława i Anastazji Kossak-Głowczewskich. Co prawda zażywny pan Bolesław prawdopodobnie w 1924 roku, jako 47-letni wówczas mężczyzna, przeszedł na wcześniejszą belferską emeryturę, lecz z całą pewnością ciągnął jeszcze jakieś dochody z majątku, którego lwia część wniosła mu w posagu starsza o dwa lata żona. Dzięki temu państwo Kossak-Głowczewscy mogli zadbać o ponadpodstawowe wykształcenie trojga spośród czworga swoich dzieci.

Ludwik sposobił się w sztuce organistowskiej do połowy 1928 roku. Po każdym 10 miesiącach pilności przysługiwały mu 2 miesiące letnich wakacji, podczas których chętnie dawał upust swemu temperamentowi, a już wtedy znany był jako psotnik, wygibus i podkorbiajk. Z końcem sierpnia jednak, odkarmiony i opalony, siadał z tobołami na powózkę lub furmankę i ucałowawszy rodzinę, pobłogosławiony przez surową, władczą matkę, prawie nie rozstającą się z fajką, ruszał na stację w Lubni, skąd przez Chojnice i Nakło docierał do Poznania. Tam łapał pośpieszny do Lwowa przez Przemyśl, by po dwudziestu kilku godzinach od opuszczenia Wielu meldować się w internacie.

Nie wiadomo dokładnie, kiedy państwo Kossak-Głowczewscy postanowili przenieść się bliżej polskiego morza, ale coś takiego musieli planować już około 1927 roku, czyli w 5 lat po tym, jak sejm II Rzeczypospolitej uchwalił ustawę o budowie portu w Gdyni, 2 lata po tym, jak otrzymała Gdynia elektryczność i rok po tym, jak uzyskała prawa miejskie. W każdym razie jeszcze zanim Ludwik ukończył naukę w Przemyślu, sprzedali sporą część swojej ziemi i — prawdopodobnie wiosną 1928 roku — zamieszkali wraz z najstarszą córką Jadwigą we wsi Zagórze, która później weszła w skład Rumi. Młodszy syn Dominik, będący po szkole leśniczych w Margoninie, pracował wtedy w Osiecznej, powiat starogardzki. Natomiast młodsza córka Agnieszka, która ukończyła Państwowy Instytut Prac Ręcznych w Warszawie, zatrudniła się jako nauczycielka w jednoklasowej, IV-oddziałowej szkole podstawowej w Orłowie (konkretnie — w Kolibkach), zwanej „Klipką”, gdzie otrzymała skromne mieszkanie. W czerwcu tegoż roku Bolesław Kossak-Głowczewski kupił od byłego konsula estońskiego Witolda Kukowskiego blisko 1400-metrową parcelę w Orłowie, przy dzisiejszej ulicy Przebendowskich, zamierzając wybudować 3-piętrową kamienicę, by każde z jego dzieci mogło w przyszłości zasiedlić jedną kondygnację.

Fakt, że siostra Ludwika została nauczycielką szkoły w Kolibkach miał dla niego samego nieoczekiwane korzystne konsekwencje, ponieważ jednym z uczniów zapisanych w 1928 roku do II oddziału był starszy syn dra Teofila Zegarskiego — świetlanej postaci w dziejach Gdyni. Orłowo Morskie, bo taka była pełna, oficjalna nazwa, liczyło wówczas niewielu mieszkańców, toteż naturalnym biegiem rzeczy Agnieszka Kossak-Głowczewska, poznawszy się nieco bliżej z rodziną Zegarskich, zaprotegowała brata na stanowisko wychowawcy w internacie dopiero co powstałego gimnazjum 44-letniego wówczas pana Teofila. Ludwik, wdzięczny siostrze, mógł z bliska poznać format swego przełożonego, który zaiste w każdym calu był Europejczykiem.

Mimo innych pozorów, Teofil Zegarski jedynie swym zdolnościami i uporczywej pracy zawdzięczał to, co osiągnął w ciągu niedługiego życia. Urodzony w

Grabowie pod Starogardem, skończył jako wzorowy uczeń szkołę podstawową, a później Collegium Marianum. Ponieważ jednak pelplińskie progimnazjum nie posiadało wtedy najwyższej klasy, prymy, uczniowie pragnący zdawać egzamin dojrzałości przynosili się na ostatni rok do któregoś z pełnych gimnazjów pomorskich, zwykle do Wejherowa, Chełmna lub Chojnic. Zegarski wybrał Wejherowo, gdzie maturę zdał celująco. Otrzymał za to historię floty niemieckiej, którą wręczył mu dyrektor ze słowami: mam nadzieję, że Polak będzie umiał docenić nagrodę niemieckiego cesarza.

Nie mając środków na samodzielne finansowanie studiów, wrócił Zegarski do Pelplina, by podjąć naukę w tamtejszym seminarium duchownym. Po roku jednak, wsparty materialnie przez kilku kanoników, otrzymał zgodę na studia uniwersyteckie, z tym, że urlopujący go biskup Rosentratner zaznaczył, iż w grę wchodzi jedynie katolicki uniwersytet we Fryburgu badeńskim. Tam zatem Zegarski podjął i ukończył studia filozoficzne, a także doktoryzował się broniąc rozprawy „Polen und das Basler Konzil” („Polska a sobór w Bazylei”). W latach 1910-1912 złożył egzaminy państwowe, otrzymując patent profesora historii i germanistyki. W 1915 roku ożenił się z córką nauczyciela i organisty w Jabłowie pod Starogardem, Jadwigą Ziegert, z którą niebawem wyjechał do Heidelbergu, ponieważ w miejscowym college'u zaangażował go jako pedagoga znajomy z Fryburga, dr Holzberg. W tej ekskluzywnej, snobującej się trochę na angielsko (istniejącej zresztą do dziś) szkole pracował dr Zegarski 5 lat, pod koniec nawet jako zastępca dyrektora, lecz na pierwszą wieść o wyzwoleniu Pomorza wrócił w 1920 roku z żoną i dwiema córeczkami do Polski.

Już w kilka miesięcy po przyjeździe otrzymał funkcję delegata rządu polskiego do spraw szkolnictwa w Wolnym Mieście Gdańsku. W 1922 roku przeniósł się do Torunia, gdzie został naczelnikiem wydziału w Kuratorium Okręgu Szkolnego Pomorskiego, zaś w 1925 mianowano go wizytatorem pomorskim przy Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Odtąd przez dwa lata przyjeżdżał co tydzień z Warszawy do Torunia, gdzie mieszkała żona z czwórką dzieci, aż wreszcie, coraz bardziej zniechęcony do opanowanej przez sanację stolicy, postanowił odejść z państwowej posady i spełnić wieloletnie swe marzenie o założeniu prywatnego gimnazjum. Idealne miejsce dla realizacji takiego projektu stanowiła Gdynia, w której nie było jeszcze szkoły średniej, za to było wielu znaczących ludzi z dziećmi w wieku szkolnym.

Jesienią 1927 roku przyjechał Teofil Zegarski na zasadnicze rozpoznanie, rozglądając się od razu za miejscem pod budowę gimnazjum oraz domu z internatem. Po niedługich poszukiwaniach odkupił od znanego sobie jeszcze z Heidelbergu konsula Kukowskiego sporą parcelę w Orłowie wraz z solidnym budynkiem, będącym do tego czasu gospodą z zajazdem i drogerią, a stanowiącym własność Emila Milkego z Sopotu. W krótkim czasie dom ten został przebudowany i wyremontowany, przy czym założono elektryczność, hydrofor, kanalizację, centralne ogrzewanie i telefon (nr 13-27), na który nie czekało się wówczas 10 lat. Na parterze przewidziano pomieszczenia internatowe, a na piętrze urządzono wygodne, kilkupokojowe mieszkania. W lipcu 1928 roku dr Zegarski ściągnął do Gdyni rodzinę oraz kilku znanych sobie nauczycieli toruńskich, dzięki czemu można było rozpocząć nabór do dwóch najniższych klas szkoły. Z założenia była ona w tym okresie rozwojowa, czyli nie miała od razu wszystkich klas. Każdego następnego roku, wraz z przybywaniem uczniów i nauczycieli, dokładano jedną wyższą klasę i w ten sposób w 1934 roku Prywatne Koedukacyjne Gimnazjum Dra Teofila Zegarskiego w Gdyni-Orłowie wypuściło pierwszy rocznik maturzystów.

Spore były początkowo kłopoty lokalowe szkoły, dopiero bowiem w 1931 roku ruszyła pod okiem starogardzkiego architekta Jana Pilara budowa jej docelowej siedziby — w sąsiedztwie domu Zegarskich. Najpierw za pomieszczenia lekcyjne służyły dwa pokoje wynajęte u sióstr wincentek przy ulicy Staro-



Rodzina Kossak-Głowczewskich. Siedzą Ludwik i Jadwiga. Stoją (od lewej): Agnieszka, rodzice i Dominik. Zdjęcie z ok. 1935 r.

wiejskiej, potem edukacja odbywała się w kilku przestronnych izbach potężnej, bo zbudowanej na wyrost, szkoły podstawowej przy ulicy 10 Lutego. W końcu doktor Zegarski wynajął pensjonatową willę o wdzięcznej nazwie „Promienna”, usytuowaną na szczycie Kamiennej Góry, w miejscu, gdzie stoi dzisiaj pawilon restauracji „Panorama”, i w ten sposób rozwiązał problem do czasu przeprowadzki szkoły we własne mury.

Uczniowie z „centrum” Gdyni dochodzili do tymczasowych siedzib gimnazjum bez większego trudu, ale dwie córki Zegarskich (później także dwaj synowie) oraz kilkunastu młodzieńców z przydomowego internatu należało dowozić pod kontrolą stałego opiekuna. I to właśnie było jedno z pierwszych zadań przyjętego na etat jesienią 1928 roku 23-letniego Ludwika Kossak-Głowczewskiego. Codziennie rano, z wyjątkiem niedziel i świąt, szedł z grupką młodzieży przez łąki do odległej zaledwie o 300 metrów stacji Kolibki-Orłowo, by następnie wsiąść do pociągu parowego relacji Gdańsk — Gdynia. Lipczy — Lorwo! — krzyczał po zatrzymaniu się lokomotywy kaszubski konduktor, co dla „zegarszczaków” oznaczało sygnał do gramolenia się wśród śmiechów i popychań.

Przepracował Ludwik u pana Teofila prawie dwa lata, pomagając przede wszystkim chłopcom w internacie, ale będąc także nauczycielem śpiewu i prowadząc chór szkolny. Okres ten w sensie rozwoju osobistego dał mu znacznie więcej niżli cztery lata u księży salezjanów. Doktor Zegarski, ulepszając wciąż model swojego gimnazjum, dążył do stworzenia szkoły w pełni otwartej, humanistycznej, dlatego dyscyplinę pojmowano tu inaczej niż na przykład w pełnych sztywnego rygoru gimnazjach wielkopolskich. Nauczyciele przy ocenianiu uczniów nie brali pod uwagę ich przekonań politycznych czy społecznych. Rozwijano zainteresowania naukowe, sportowe i hobbystyczne wychowanków, szanowano ich wiarę. Do ewangelików przychodził na religię pastor, do Żydów — rabin. Uczniowie katolicy każdą lekcję zaczynali od *Ojcze nasz*, przy czym na lekcji niemieckiego był to *Vater unser*, na lekcji łaciny *Pater noster* i tak dalej.

Latem 1930 roku Ludwik Kossak-Głowczewski rozstał się w zgodzie i przyjaźni z niezwykłą szkołą, by

3

w listopadzie zdać przed komisją biskupią egzamin organistowski. Dużo wcześniej jednak dał się nakłonić do kontynuowania własnej edukacji muzycznej — w myśl zasady, którą dr Zegarski wpajał zarówno swym wychowankom, jak i dzieciom: obyście nigdy od nikogo nie usłyszeli „przyjacielu, posiądź się niżej”. Prawdopodobnie wkrótce po podjęciu pracy w Orłowie, jeszcze w 1928 roku, zapisał się więc Ludwik do prywatnego konserwatorium muzycznego w Wolnym Mieście Gdańsku, z filią w Sopocie przy ulicy Brombergstrasse 19. O tej niewielkiej uczelni wiadomo tyle tylko, że istniała od 1900 roku w Gdańsku przy Kassubischer Markt (Targu Kaszubskim) nr 9, przemianowanym później na Hansaplatz (Plac Hanzy), czyli w okolicy dzisiejszych Wałów Piastowskich. Jej założycielem, a zarazem dyrektorem był kompozytor dr Ludwig Heidingsfeld.

W gdańskim konserwatorium studiował Kossak-Główczewski do roku 1931, otrzymując świadectwo ukończenia dwóch wydziałów: nauczycieli muzyki oraz teorii muzyki z organami jako instrumentem głównym. Są powody, by sądzić, że razem z bratem lekcje fortepianu u dra Heidingsfelda pobierała również Agnieszka Kossak-Główczewska, która nadal pozostawała nauczycielką szkoły w Kolibkach, choć wiosną 1932 roku zamieszkała wraz z rodzicami i siostrą w zbudowanej tymczasem i — z braku dalszych funduszy — zadaszonej jedynie ponad wysokim partem posesji przy dzisiejszej ulicy Przebendowskich w Orłowie. Niebawem zresztą, w wyniku notarialnie

poświadczanego aktu darowizny, została prawną właścicielką tego budynku, podczas gdy starsza Jadwiga otrzymała 15-morgową łąkę w Chłopowach pod Brusami, a do tego 2 krowy, 6 świń, 35 kur, 8 gęsi, 1 indyka i wylęgarnię oraz liczne meble, obrazy, naczynia kuchenne, porcelanę, maszynę do szycia i magiel. Synowie, jako samodzielni i wobec tego nie potrzebujący posagu mężczyźni, potraktowani zostali przez Bolesława i Anastazję Kossak-Główczewskich mniej szczerze. Ludwik dostał złoty zegarek z łańcuszkiem, zegar ścienny, futro, lampę stojącą, szafę, krzesła oraz prawo do poboru czynszu od najmu mieszkań w jakiejś trudnej już dziś do zidentyfikowania posesji. Dominik otrzymał 2 szafy, kanapę, stół, biurko, krzesło, strzelbę i dryling systemu Tesznera, łódkę oraz 9 tomów encyklopedii Herdera.

Do końca 1933 roku brak jakichkolwiek dalszych wiadomości o losach Ludwika. Nie wykluczone, że był zastępczym organistą w jednej lub kilku parafiach diecezji chełmińskiej. Prawdopodobne jest również, że właśnie w owym czasie zaczął wyjeżdżać do dalszych krewnych w Berlinie. Tak czy owak, dopiero w lutym 1934 roku objął posadę stałego organisty w XIV-wiecznym, gotyckim kościółku wsi Kłównówka pod Starogardem, będącej przez wiele lat własnością znanej pomorskiej rodziny Kalksteinów. Przebywał tam do 1936 roku, kiedy to został organistą w Starzynie pod Puckiem. Jeszcze wówczas nie wiedział, że zaczyna się dla niego nowy, ważny etap życia. (cdn.)



ementarzyska i osady określić na młodszy okres brązu, czyli na jakieś tysiąc lat przed narodzeniem Chrystusa, a mieszkańców tego rejonu przypisać do kultury łużyckiej (nazwanej tak od pierwszych znalezisk na terenie Łużyc), do grupy kaszubskiej tej, uważanej za prasłowiańską, kultury.

Stoiły w gęstym młodniku sosnowym i muszę nasilić wyobraźnię, żeby z ułamków, z drobnych faktów, które podsuwa archeolog powstał obraz tego zakątka sprzed trzech tysięcy lat. Nad rzeką Łąka, pasą się na niej krowy. Pola wokół obsiane pszenicą, żytem, miejscami rośnie len. W pobliżu łąki nadrzecznej, na lekko pochyłym, słonecznym wzniesieniu stoją zagrody. (— Nie zachowały się bezpośrednio ślady domostw, a jedynie palenisk. W jednej z jam występowały zaciemnienia owalne z pozostałościami węgla drzewnego i grudek przepalanej polepy. W jej sąsiedztwie były cztery mniejsze jamy. Największa pełniła zapewne funkcje mieszkalne. Obok znaleźliśmy dużą ilość ułamków ceramiki, wśród nich zdeformowane termicznie — być może był tu piec do wypalania lub warsztat garncarski. W następnej jamie była widoczna w dolnych partiach ciemna warstwa, która mogła być związana z produkcją spożywczą, na przykład wędzeniem. Znajdował się w niej rozcieracz kamienny, świadczący pośrednio o rolniczym charakterze osady. Można przypuszczać, że skupisko jam to pozostałość po jednej zagrodzie. Domy nie były wgłębiane, lecz naziemne, prawdopodobnie o podobnej konstrukcji jak w Biskupinie — sumikowo-łatkowej lub prostszej — słupkowej — podpowiada archeolog). Zagrody nie są skupione, tkwią w rozproszeniu — jak teraz. Osada niewielka, zaledwie kilka zagród. Szczekają psy. W pobliżu domostw, na stoku niskiego wzniesienia rozciąga się cmentarzysko...

Nie znaleziono dowodów na wyodrębnienie się warstwy zamożniejszej. W Leśnie, gdyż w kulturze łużyckiej istniała organizacja rodowa, a znajdowane w grobach oprócz mieczy luksusowe ozdoby świadczą o przodującej pozycji wojowników. Tę osadę i cmentarzysko użytkowała prawdopodobnie grupa rodzinna.

— W tym okresie były zamieszkałe także inne, pobliskie obszary. Na całym tym terenie wykopaliliśmy sporo „garnków” wskazujących, że i tu rozpościerała się osada kultury łużyckiej — dodał dr Walenta, gdy powróciliśmy na drugą stronę rzeki, w cień wysokich drzew, aby zarazem wkroczyć w bliższą epokę.

ARCHEOLOG mówi teraz o kulturze pomorskiej i co z niej tutaj ocalało — po dwu i pół tysiącach lat, które minęły od jej rozkwitu. Słucham pilnie, bo przecież uważa się, że przypadła jej wyjątkowa rola nie tylko w pradziejach Pomorza, ale i w tej północnej krainie okresu większej świetności. Paweł Jasienica pisze w „Polsce Piastów”, że „między VII a V w. przed Chr. odbyło się pierwsze w historii polityczne zjednoczenie ziem późniejszej Polski. Było krótkotrwałe, przelotne, ale jednak było!”. Kto tego dokonał? Jasienica wyjaśnia: „Tego podboju i zjed-

noczenia naszych ziem dokonały plemiona rodzinne, same należące do kultury łużyckiej, te mianowicie, które zamieszkiwały dzisiejsze Pomorze Kaszubskie”.

Jasienica sam określa w postłowi swą książkę jako swobodną literacką opowieść, więc można podejrzewać, że przypisał Pomorzanom przesadną rolę. Ale jego twierdzenia znajdują pełne uzasadnienie w dziełach sensu stricto naukowych. Uważa się, że ze wszystkich grup łużyckich jedynie pomorska wykazała wyjątkową siłę zdobywcą i organizacyjną. W połowie V w. przed n.e. ludność kultury pomorskiej doszła do Poznania, zaś około 400 r. opanowała resztę Wielkopolski i część Dolnego Śląska — określał rozmiary ekspansji prof. Józef Kostrzewski, upatrując jej przyczyn w tym, że ci przodkowie „północnej grupy Słowian Zachodnich” nie mogli się wyżywić na nieurodzajnych glebach Wyżyny Kaszubskiej. Ruszyli na południe, na podbój. Nie przyjmowano ich z otwartymi rękami. Broniono się, o czym świadczy wielka liczba grodów na południe od Noteci. A jednak zdaniem prof. Kostrzewskiego podbój ten wyprzedził tylko inne, dobrze więc, że dokonali go pobratymcy. Scementował on ludność prasłowiańską i uchronił większość ziem Prasłowian od losu, jaki spotkał zachodnie części ich obszaru, które uległy w tym czasie naporowi obcych ludów: Germanów i Celtyków.

„Silnie rozwinęły się u nich metalurgia i handel. Rozbój morski też pewnie był źródłem dostatków. Mogiły Prapomorzan kryją wielkie bogactwa i zdradzają, że nie tylko kobiety lubiły się wtedy przystrajać biżuterią. Materialna zasobność pozwoliła najzamożniejszym wytworzyć jakąś organizację i władzę, która powiodła szczepu pomorskie na podbój słabszych pobratymców, zamieszkałych bardziej na południu” — uzasadnia ekspansję Jasienica; słaby lud nie byłby do niej zdolny.

Czy nie podobnie objaśniał dzieje Kaszubów, zakreślając na mapie „starodowne granice naszej ziemi kaszubskiej”, powstaniec, pan Józef. Remusowi, powierzając mu misję przystąpienia do wydzwignięcia zamku minionej chwały? „Pod Grifowim znakiem bjeżelē morzami: pporunē jich mjecze a żogle jich skrzydła! A vjińcem gardōv wogrodzilē wubetk vsōv svojich i kontin. Przystanie nad morzem to zdrōdila jich złota. A purpura i złoto spjevalē jich chwałē ze szczitōv jich kontin i bjoich remjon jich dzevczāt i njevjast”.

Czy nie podobnie mówiła królowianka pod koronowaną jarzębiną, zachęcając Remusa, żeby sięgnął wzrokiem ku swojej gwiazdzie i uzbroił serce do wielkiej sprawy, i rozraczając przed nim wizję tego, co zdarzy się po wybawieniu jej z zaklęcia? „Vstanje njevjadomi svjatu lud, wo chternim dzeje dovo pjsach woprzestalē i znovu vorac bēdže zemjē i żogłami jezdecz bēdže po vodach. Tej prēboczi sobje svjat, że lud takji żel v czasach dovo minjonich i dzevjic sē bēdže, że znovu zije...”

Ten lud umarł — a żyje — mówi w powieści Arystan do Smętka. (Cdn.)

Na Pustkach

Zbigniew Gach

Wywiódłszy w pole Gestapo, miał Ludwik Kossak-Główczewski najwyżej kilka godzin, aby się dobrze schować. Starzyno nie wchodziło w grę — szalał tam nowo objawiony SA-man Kantschonka. Dom w Orłowie też lada chwila mógł znaleźć się pod obserwacją, jedynym więc wyjściem było szybkie znalezienie kryjówki w pobliżu Gdyni (przemianowanej tymczasem przez Hitlera na Gotenhaven). Za radą Anny, postanowił Ludwik przyznać się w domu jej starszej siostry Matyldy Rohde, od jedenastu już lat zameżnej, mieszkającej w Cisowskich Pustkach przy ulicy Orlej. Dotarli tam po zmroku, witani przez Matyldę

uśmiechem i zaraz łzami — z braku bliższych wiadomości od jej męża Franciszka, z zawodu robotnika portowego, wziętego do niewoli po upadku Kępy Oksywiej.

Przy chlebie z boczkim, kawie i fiaszce spirytusu — od sąsiada pracującego w wytwórni octu — przesiadzieli do świtu, nie mogąc się nagadać. Ludwik, wszystkiego ciekaw, kazał sobie z najdrobniejszymi szczegółami opowiedzieć, jak wyglądało wkroczenie hitlerowców do Gdyni.

— Ponure widowisko — rozpoczęła Anna. — Środkiem Świętojańskiej wślizgiwał się wąż niemieckich

Japan (3)

„Pomorzanina”

Nr 1 - 1986

samochodów, a jadący na budach żołnierze trzymali karabiny wycelowane w bramy i okna. Nie witano ich tutaj kwiatami i owacjami, jak w Gdańsku. Ulice świeciły pustkami. Zaledwie z kilku okien wywieszono chorągwie ze swastyką...

Zamilkła nagle, zaciskając piąstki.

— Co się stało? — Ludwik poprawił sobie okulary.

— Nic... Dziesięć dni temu Kantschonka w Starzynie przyprowadził jakiego gestapowca, który narzeczka na mnie, że jako narzeczona polskiego bandyty muszę udowodnić swoją lojalność wobec Rzeszy, szyjąc partię hitlerowskich flag. W przeciwnym razie on się postara, żeby mnie wywieziono...

— I co zrobiłaś?! — Ludwik aż uniół się z krzesła.

Anna spojrzała na niego w taki sposób, że usiadł z powrotem. Potem wyciągnęła chusteczkę i wytarła nos.

— Trzeba czasem cofnąć się o krok, by móc potem zrobić parę kroków w przód, czy nie twoje to słowa? Zgadnij, o kim najwięcej myślałam, gdy wylewałam łzy nad maszyną?

— No, dobrze już, dobrze — mruknął Ludwik pojednawczo.

— Kantschonka i tak nie dał za wygraną, o czym prędko donieśli mi dobrzy ludzie. Ale ja przecież znam naturę Niemców. Poszłam do jednego wojskowego i powiedziałam, że Kantschonka z powodów osobistych chce mnie wysłać na zniemczenie, choć nawet nie mam pełnych aryjskich rysów. Potem u drugiego załatwiłam sobie zaświadczenie o mojej niezbędności, jako krawcowej, na tym terenie. Mam teraz odpowiedni *Passierschein*, dzięki któremu mogę odwiedzać niemieckie klientki od Wejherowa po Chojnice i Elbląg. Wystarczy list rzekomej Frau Müller albo Schmidt...

— A niech cię!... — Ludwik z podziwu trzepnął się w kolano. — To dopiero będzie partyzant!

Stuknęli się kieliszkami na zglęb Hitlera, przy czym Ludwik wychylił od razu, a panie w kilku lyczkach.

— Wróćmy jeszcze do Gdyni sprzed paru dni...

— Tak, tak, co oni wtedy tych biednych chłopów natargali — załamała ręce Matylda, wstrzymując się przed chlipnięciem.

— Pewnie już słyszałeś — dodała Anna — że prawie natychmiast po zajęciu polskich urzędów i aresztowaniu wybitniejszych obywateli miasta Niemcy wydali zarządzenie o obowiązkowym stawianiu się wszystkim mężczyznom w wyznaczonych punktach: na placach, skwerach, bulwarach, kortach tenisowych, w kinach i kościołach. Tych, którzy nie zgłosili się w porę, doprowadzono siłą i do tej chwili trwa akcja weryfikacji kilkudziesięciu tysięcy Polaków przez gdańskich gestapowców. Ludzie mówią, że tych, co są na czarnej liście, już nie wypuszczają. Innych będą podobno wywozić w głąb Niemiec, a osiedleńcy z Mazowsza, Małopolski czy kresów wschodnich mają zostawić swoje mieszkania otwarte i z bagażem do pięćdziesięciu kilo wyjeżdżać specjalnymi pociągami w rejon Kielc, Lublina lub Częstochowy.

Ludwik drżącą ręką nalał sobie i wypił jednym haustem. Potem, jakby dopiero zauważając obecność pań, napełnił wszystkie kieliszki:

— Za niepodległość!

Zbudził się w południe, czując na sobie zacięte spojrzenia dzieci Matyldy. — Doch to je pan organista ze Starzyna — szepnęło któreś. „Hm, mimo rudawych włosów i brody zostałem rozszyfrowany” — pomyślał. Gromadka czmychnęła, gdy tylko uniół głowę. Ubrał się i poszedł do kuchni, gdzie już od paru godzin krzątała się gospodyni.

— We, le te twoje wszóny mnie poznały — zagadnęła.

— Siadaj, nasmażę prażnicy — uśmiechnęła się Matylda, lekceważąco machając ręką. — One nic nie powiedzą.

— Anna już wyjechała?

— Jo, Puckową baną. Przyjedze znów jutro po połniu.

Włoczorem tegoż dnia ktoś energicznie zapukał do drzwi. Ludwik, czytający coś przy lampie naftowej,

zerwał się, spoglądając pytająco na Matyldę. Odpowiedziała mu uniesieniem brwi i bezwiednym rozłożeniem dłoni.

— Kto tam?!

— Otwórz, to ja — szepnęła męski głos.

— Ach! — Matylda, nagle uspokojona, śmiało odsunęła rygiel, wpuszczając swego brata, Jana Schomburga.

Ludwik przyciemnił lampę. Znał przybysza, lecz nie pragnął w tej chwili ani rozpoznania, ani nagabywania.

— Znajomy Franca — przedstawiła go Matylda zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami.

— Dzień dobry panu — chrząknął Jan.

— Dzień dobry.

Jan umył się, przeżegnał i zasiadł do wspólnej kolacji, opowiadając pokrótce, jak zmienił polski mundur na cywilne ubranie i jak wrócił do Starzyna. Po kilku kieliszkach zdecydował się także odtworzyć ostatnie chwile pułkownika Stanisława Dąbka, dowódcy Lądowej Obrony Wybrzeża:

— Przysięgam, on nie popełnił samobójstwa. Po prostu widząc beznadziejność sytuacji na Oksywiu, rozkazał nam odstąpić, a sam zasiadł do cekaemu i pruł Niemców tak długo, aż trafił go jakiś ich snajper.

— To też jest rodzaj samobójstwa, gdy się w pojedynkę podejmuje walkę z całym batalionem — zauważył Ludwik.

Jan zacisnął zęby, ale nie kontynuował tematu. W pół godziny później pożegnał się, mruknawszy w progę do siostry: — Wiem, kim jest ten człowiek i mam do was żal, żeście mi nie zaufali.

Anna przyjechała dzień później niż zapowiedziała, co sprawiło, że Ludwik z nerwów obgryził wszystkie paznokcie u rąk.

— Należało przecież odwiedzić twoich rodziców i siostry — tłumaczyła. — Pani Anastazja chyba bardziej łaskawa dla mnie, bo więcej chciała słuchać niżli fajkę pykać. Na spacer nawet poszliśmy, nad morze.

— A to heca! — Ludwik pochwycił leżącą obok lampy kolorową broszurę. — Pozwolisz, że ci przeczytam fragment wydanego tysiąc dni temu przewodnika po Gdyni.

— Ludwiku...

— Chwileczkę. O! „Ubranie i ekwipunek letnika-kuracjusza powinien być taki sam, jak turysty; nadto należy zabierać letni ubiór na plażę, trzewiki plażowe, pyjamę, parasolkę, ubiór na dancingi, bale; rakietę tenisową, ubiór tenisowy. W Gdyni można kupić wszystko. Firmy miejscowe są stale i oficjalnie zaopatrzone w wyborowy towar...”

— Słuchaj, hitlerowcy kończą już spisy osób do wysiedlenia z Orliowa. Na razie pomijają ludność pomorską, ale pan Bolesław kazał mimo to wymyć kufty podróżne. Jeśli chodzi o ciebie, wszyscy radzą, abyś wyjechał w Bory Tucholskie.

— Teraz?! — Ludwik zdjął okulary, włożył ręce w kieszenie i zaczął przemierzać pokój. — Drogi najeżone patrolami, wszędzie pełno szpiclów, a ja, poszukiwany przez Gestapo, mam paradować w pełnym słońcu?!

— Można to zorganizować...

— O nie, najpierw niech trochę przycichnie, wtedy pomyślimy.

Dni pobięły odtąd jakby szybciej. Prawie do połowy października podciągał się Ludwik w angielskim (na ewentualność interwencji sojuszników z Albionu), ale hołdując pomorskiemu racjonalizmowi dokładnie również przestudiował mapy powiatów chojnickiego i starogardzkiego. Jednocześnie raz jeszcze zestawiał szczegółową listę wszystkich krewnych, powinowatych i znajomych — zarówno tych, których odwiedził w ostatnim czasie, jak i tych dawno nie widzianych, lecz gościnnych, a przy tym godnych zaufania. Uzbierało się w sumie kilkadziesiąt nazwisk, co samego autora wprowadziło w radosne zdumienie. Jako pierwszą wpisał swą ciotkę (siostrę matki) Antoninę Czapiewską, zamieszkałą na wybudowaniu Wiela; następnie dwie jej zameżne córki: Marię Skwierawską, osiadłą w części Wiela zwanej

Białą Górą, oraz Bronisławę Trawicką, gospodarzącą we wsi Górki, cztery kilometry od Wiela. To ostatnie miejsce miało starzyńskiemu organizację szczególnie przypaść do gustu.

Trudno dzisiaj stwierdzić, jak podczas pobytu w Cisowskich Pustkach nawiązał Ludwik Kossak-Głowczewski kontakt z podziemiem (wspomnienia każą przypuszczać, że kilkakrotnie spotkał się z dwoma organizatorami gdyńskiego ruchu oporu, kpt. rez. Antonim Szprungiem i nauczycielem Józefem Żmudzimskim). Nie sposób także ustalić, jaki to miało wpływ na późniejsze poczynania siatki operującej w Borach Tucholskich. W każdym razie po chwilowej euforii, wywołanej planami rozpetania sabotażu i uruchomienia podziemnej drukarni, Ludwik albo nie znalazł wspólnego języka z gronem potencjalnych współpracowników, albo przestał wierzyć w możliwość realizacji pewnych inicjatyw na terenie wyjątkowo sterroryzowanej Gdyni. Za drugim wariantem przemawiałby fakt ulegania coraz silniejszym depresjom na wieść o każdej kolejnej fali okupacyjnych bestialstw — po nocach śniły mu się wtedy komunikaty i wyroki śmierci z podpisami niczym wielkie pająki: SS-Sturmbannführer Friedrich Class, nadburmistrz Horst Schlichting, Kreisleiter Erich Temp...

Najbardziej przygnębiające były doniesienia o ciągle nowych kolumnach cywilów, gnanych gdzieś na południowy wschód. Gdynia aż do kוליbskich rogatek rzucała w nich chlebem, Gdańsk — błotem i kamieniami. Niebawem świadomość ludzką po raz pierwszy rozorało cuchnące trupami słowo: Stutthof. Trochę później dotarły zamglone wiadomości o Piaśnicy, Szpegawsku, Trzuszczynie i Rudzkim Moście.

11 listopada 1939 roku, w 21 rocznicę uzyskania przez Polskę niepodległości, policja niemiecka rozstrzelała 10 gdyńskich uczniów. Oficjalnym powodem tej pierwszej publicznej egzekucji było wybite przez któregoś z chłopców szyby w lokalu żandarmerii na Obłuzu. Ludwik, dowiedziawszy się o tym, zaczął pakować plecak, tym bardziej że dzień wcześniej dostał od zaufanego człowieka wiadomość o nagłej rewizji Gestapo u rodziców w Orłowie. Anna przywiozła mu wcześniej ciepłą bieliznę i odzież, na nic się więc już nie oglądając ruszył 13 listopada rowem do Górek. Po drodze raz tylko zatrzymał go patrol złożony z dwóch starych żołnierzy Landwehry, ale wystarczyło im podrobione zaświadczenie (kosztowało pół świni), że taki a taki udaje się do Chojnic w charakterze nauczyciela śpiewu. Pieczętka. Podpis.

(cdn)

6



"Pomocnia" Marzec 1986 Nr. 3

chowały się resztki Stawu Młyńskiego. Niedzisiejszy charakter mają też uliczki zbiegające się w północno-zachodnim narożu rynkowym: Pokoju (Tarzna) i Gdańska. Staromiejski pucky spacer koń-

czymy powracając z naroża południowo-wschodniego ul. Bogusława (Kowalską) do punktu, od którego go rozpoczęliśmy — szpitalika, siedziby muzeum przy ul. Wałowej. ■

Kostucha

Zbigniew Gach

"Pomocnia" nr 3

Japan (5)

marzec 1986

Nie sposób dziś ustalić, jak szerokie plany podziemne snuł Ludwik Kossak-Głównowski po przyjeździe do Górek, ale wydaje się pewne, że już wtedy intensywnie myślał o wykorzystaniu pewnej zakonspirowanej maszyny drukarskiej. Jej właścicielem był przed wojną daleki krewny z Czerska, doktor Antoni Zemke — człowiek nietuzinkowy, wielki patriota i działacz, a jednocześnie figlarz słynny na całą okolice. Urodzony 24 lutego 1886 roku w 1000-morgowym majątku Łosiny pod Czerskiem jako syn Augusta i Marianny z Drażkowskich, zdał maturę w gimnazjum chojnickim, a następnie wyjechał na studia medyczne do Berlina. Podczas pierwszej wojny światowej służył jako lekarz wojskowy. Około 1920 roku zamieszkał na stałe w willi swej niezamężnej siostry Anastazji przy ulicy Królowej Jadwigi w Czersku, otwierając prywatną praktykę.

Szybko przyłgnęło do niego miano lekarza-altruisty, bo od ubogich pacjentów brał tylko symboliczne wynagrodzenie (na przykład pudełko papierosów „Pomorskich” za 80 groszy). Mając wybitne zacięcie polityczne, wykupił z rąk niemieckich, od Paula Grossa, czerski browar, na terenie którego wygospodarował pomieszczenia na drukarnię założonej przez siebie gazety „Głos Ludu”. Było to piśmko propagujące orientację Stronnictwa Ludowego „Piaś”. Wychodził zaczęło od 1922 roku pod redakcją Mieczysława Piechowskiego, który za swoje artykuły w rozmaitych gazetach pomorskich przesiedział łącznie kilka lat w pruskich więzieniach.

Z końcem lat 20-tych Antoni Zemke poczuł się zmuszony do sprzedania browaru, który po niedługich pertraktacjach został nabyty przez poznańskiego kupca Jana Raczkowskiego. Drukarni wszakże doktor nie zaniechał, przeciwnie — wybudował dla niej pawilon w ogrodzie siostry, by w ten sposób przedłużyć żywot pisma. Niestety, w roku 1931, nie podolawszy już trudom finansowym, ostatecznie — jak mówili ludzie — „plajtnął”. Nie na tyle oczywiście, by znaleźć siebie niedzarmem. Nadal mieszkał w domu siostry i prowadził praktykę lekarską, która zapewniała egzystencję na jakim takim poziomie. Mimo rozmaitych zobowiązań (był znanym filantropem), maszyny drukarskiej nie sprzedał, lecz kazał schować w ogrodowej szopie, fachowo zakonserwowaną i opatuloną, w oczekiwaniu na „lepsze czasy”.

Poza żywiołową, antysanacyjną działalnością polityczną, miał jeszcze jedną pasję — myślistwo. Nierzadko zapuszczał się z flintą aż do Cisewia, gdzie strzelał w lasach dziedzica Edmunda Maciejewskiego, oraz do Wiela, gdzie przy okazji odwiedzał krewnych na wybudowaniu — Czapiewskich. Zasadniczo nigdy nie założył rodziny, trudno bowiem uznać za takową krótkotrwałą, od samego początku nieudany związek małżeński z lwowianką Janiną Gibowską, także lekarską.

11 listopada 1939 roku w lesie pod Łukowem doktor Antoni Zemke został, wraz z grupą znamienitych obywateli Czerska, rozstrzelany przez hitlerowców.

— I taka jest prawda — powiedziała przez łzy Anastazja Zemke, kiedy na początku grudnia 1939 roku spotkała młodego Kossak-Głównowskiego w Wielu, u Antoniny Czapiewskiej. — Mój brat był naprawdę dobrym człowiekiem, Pan Bóg chyba za wcześniej powołał go do siebie.

— Ciociu, wybacz, ale co z maszyną? — wyrwał się Ludwik, nie mogąc wytrzymać z emocji.

— Nie dostali jej, mordercy! — Anastazja Zemke

przetarła oczy i odchyliła głowę. — Nie domyślają się nawet, że jeszcze istnieje, a to przecież bardzo wydajna dociskowa pedałowka typu Boston, z dodatkowym napędem ręcznym. Jeśli zbierzesz grupę kilku rozsądnych mężczyzn i przygotujesz zaplecze, wydam ci wszystko aż do ostatniej ramki.

W trzy tygodnie później spotkała Ludwika najgorsza przygoda wojenna: drogę przebiegła mu, zatrzymując się na długą chwilę, przezroczyista zjawa z kosą. Zaczęło się od tego, że korzystając z rozległych znajomości, został skontaktowany w Pelplinie z byłą pracownicą „Pielgrzyma”, Maniecką, zorientowaną w możliwościach wydobywania ukrytych rezerw papieru i farby drukarskiej. Nieznany jest wynik tego spotkania, ale wiadomo, że przed powrotem na Zabory postanowił Ludwik odwiedzić swego dobrego znajomego w Marywilu (przysiółek Klonówki pod Starogardem), 250-morgowego gburą Jana Chabowskiego, zamierzając posiedzieć u niego około tygodnia, spędzając również Sylwestra.

Na dwa dni przed Nowym Rokiem dojechała Anna, mocno schrypnięta, bo z przemocnymi nogami. Gospodarz dał jej zaraz gorącej, pachnącej kawy, po czym wszyscy mieli zasiąść do obiadu. Nagle zastukał w okno sąsiad z drugiego końca wsi, alarmując, że policja przytapała dwóch ukrywających się „bunkrarzy” i ściągą posiłki dla przeczesania wszystkich zabudowań.

— Jasiu, zaprzęgnij konie — wycedził Ludwik z poszarzałą twarzą i wyszedł do pokoju spakować najpotrzebniejsze rzeczy. Anna bez słowa ściągnęła z pieca pończochy i trzewiki.

— Zostawię papierosy i wiktuały — powiedziała. — Pewnie Ludwik wróci tu na początku stycznia.

Furmanka w mig była gotowa, zatem na nic się nie oglądając ruszyli przez las do Starogardu. Po drodze prawie nie rozmawiali. Przed starogardzkim dworcem kolejowym Chabowski wyściskał „uciekierów” i z lekko wilgotnymi oczami zawrócił konie. Ludwik kupił bilety, po czym wszedł z Anną do dworcowej restauracji. Anna miała tylko jedną kartkę żywnościową, lecz Ludwik liczył na to, że kelnerem będzie Polak, który da się uprosić o przyniesienie dwóch talerzy zupy. Kelner jednakże, choć rzeczywiście Polak, okazał się nieużyty i odpowiedział przeczącym ruchem głowy. Wtedy jak spod ziemi wyrósł rumiany typ o wyglądzie czeladnika rzeźnickiego i zaproponował odstąpienie swojej kartki. Kiedy odchyłał marynarkę, Ludwik dojrzał od spodu hitlerowską odznakę. „Acha, bratku” — pomyślał. Mimo to przyjął pomoc i spoglądając znacząco na Annę zabrał się do jedzenia. Nieznajomy pozostał przy ich stoliku, starając się dowiedzieć, dokąd jada.

— Do Tczewa — skłamał Ludwik.

— Ja także! — ucieszył się rumiany. — Pociąg za pół godziny, prawda?

— Niestety, my pojedziemy później, bo w domu towarowym Gumińskiego zostawiliśmy przy kasie zakupiony towar.

— No to ja też później — uśmiechnął się „rzeźnik” całą gębą. — Mam jeszcze coś do załatwienia.

Gdy tylko zniknął za drzwiami, Ludwik poderwał się i chwycił bagaże:

— Chodźmy, za dziesięć minut jest ciuchcia do Chojnic.

Sylwestra spędzili gdzieś pod Czerskiem, z tym, że Anna leżała w łóżku, z wysoką gorączką. Zaraz po Nowym Roku, mimo kaszlu i złego samopoczucia, wróciła jednak do Starzyna, gdzie miała terminową

ysłanki działacze będzie na ludzi proza do tego stopnia inspirowała, iż dziś już mówić możemy nieomal o toposie rzezi gdańskiej w naszej literaturze i sztuce. Pomyśl naszego poety-igara zaczęto więc w pewnym momencie, a nazbyt gorliwie, brnąć za dobrą monetę. Trzeba więc raz jeszcze zastanowić się nad autentyzmem „wzrostu” tej umiarkowanej

głównym maru kłopoty, wykorzystan przez Beaumarchais w słynnym „Weselu Figara”, które Derdowski jako człowiek w świecie bywały mógł oglądać. Podobne przykłady znajdujemy także w ludowych śpiewach i literaturze Serbów, którzy w ten sposób konstruowali swe istotyczne przekazy o klęsce na Kosowym Polu.

robotę krawiecką. Ludwik natomiast ruszył do Zblewa w nadziei uzyskania kilku ryz papieru od jednego z ukrywających się urzędników polskich. Tuż przed wyjściem z pociągu poczuł lekkie, ostrzegawcze uklucie w sercu, ale je zlekceważył. „Nikt mnie tu przecież nie zna” — uspokoił sam siebie. Kiedy jednak stanął na peronie, zdrtwiał. Pod daszkiem, w cieniu stał „rzeźnik” z dwoma policjantami. Ludwik poczuł, jak od karku odrywa mu się gruba kropla potu i zaczyna wolno spływać wzdłuż kręgosłupa.

— Dokumenty, polski pies!

Okazał swą lewą przepustkę, która mogła nie wzbudzić podejrzeń w zwykłym żandarmie, ale tutaj był agent Gestapo.

— Pójdziesz z nami!

Wieczorem odbyło się przesłuchanie ze światłem w oczy i biciem po pysku, trwało jednak dosyć krótko. „Jutro dopiero zacznie się fest lanie” — pomyślał Ludwik w celi, spluwając krwią. Nie spał przez całą noc, a gdy wreszcie zdrzemnął się przed świtem, został prawie natychmiast obudzony kopniakiem.

— Głofczefsky, wstać!

Ubrał płaszcz i wyszedł za strażnikiem na dwór, gdzie kazano mu wsiąść do budy zapchanej sponiewieranymi cywilami. „Rozstrzelanie!” — przemknęło mu przez myśl. „Nie patyczkują się, parszywcy, widocznie znaleźli mnie w swojej czarnej księdze”. Buda ruszyła w stronę lasu, by po kilku kilometrach zwolnić przed gęstym zagajnikiem.

— Wysiadać! — wrzasnął jakiś SS-man, który prowadził ciężarówkę, jadąc przed nią na motocyklu. — Ustawić się w szeregu!

Okolo dwudziestu zrezygnowanych mężczyzn w podartych, zakrwawionych ubraniach stanęło ramię w ramię. W chwilę później zza budy wyszli żołnierze z automatami i otworzyli ogień. Ludwik od razu runął na wznak, czując, że ma jedynie przestrzeloną nogawkę. Przywaliły go dwa ciała towarzyszy niedoli, którzy zaczęli obficie krwawić. „Czyżby mi się udało?” — pomyślał, wstrzymując oddech. Kątem oka dostrzegł, jak paru żołnierzy podchodzi do zniechęconego szeregu i zaczyna uderzać karabinami w głowy. Jeśli ktoś zdradzał jeszcze oznaki życia, otrzymywał dodatkowy strzał w czaszkę. „Niedobrze, miążdżą czoła, nosy i szczęki. Jeżeli mam przeżyć, muszę otrzymać cios poniżej czoła, nie wydając przy tym żadnego jęku. Cios poniżej czoła, cios poniżej czoła”. Żołnierze działali metodycznie, ale wiadać było, że się śpieszą. W pewnym momencie jeden z nich stanął nad Ludwikiem i rąbnął kolbą w twarz.

Minął dobry kwadrans, zanim Ludwik ocknął się, usiłując otworzyć zdrowe oko. Początkowo wydało mu się to niewykonalne, bo cała prawa część twarzy stanowiła obrzmiałą bułę, w której coś bolało i chrupało aż do omdlenia. Szybko jednak uświadomił sobie, że należy wstać i uciekać, bo jeśli Niemcy zostawili zwłoki bez obstawy, to nie na długo. Lada chwila mogło przyjechać kommando grabarzy. Z niemałym trudem wygramolił się spod sztywniejących ciał i stanął na chwiejnych, zmarzniętych nogach. Czuł, że ma pękniętą szczękę, piekła go kość policzkowa, ale nie było czasu na bliższe oględziny. Zrobiwszy sobie okład z szalika wypełnionego śniegiem, ruszył w głąb lasu. Późnym popołudniem dowłókł się do skraju niedużej wioski, ale kiedy już dobrnął do najbliższych zabudowań, zemdlął w pobliżu studni.

Obudził się na ławie pod piecem.

— Kim pan jest? — szepnął kiepską niemiecką nieduży, wystraszony chłop.

— Polakiem — zaryzykował Ludwik. — Uciekłem z egzekucji.

— Cicho, ćśśś — jeszcze bardziej wystraszył się pytający. — Niech pan nie mówi po polsku, bo tuż za płotem mieszka Volksdeutsch.

— To trzeba mu dupę dragiem obić! — Ludwik uśmiechnął się krzywo i znowu zemdlął.

Po dwóch dniach podziękował za gościnę i ruszył do Karsina, gdzie znajomy jego, Dakowski, był stomatologiem. Kilka godzin trwało usuwanie połamanych korzeni i resztek zębów, wreszcie jednak dentysta umył ręce i zapalił cygaretkę.

— Ja chciałbym zapaść wszystko na ostatni guzik. Obiecano mi trochę papieru, ale gorzej z farbami. Rozglądam się też powoli za miejscem pod budowę bunkra na drukarnię. Mam już nawet pewną koncepcję, lecz muszę ją jeszcze przemyśleć w najdrobniejszych szczegółach.

— Na dzisiaj koniec — oznajmił. — Szczeka ma prawo boleć jeszcze przez kilka tygodni, ale muszę się obejść bez drutowania. Nie mam ani odpowiednich materiałów, ani narzędzi, poza tym jestem stomatologiem zachowawczym, a nie szczękowcem.

Tę noc spędził Ludwik znów bezsenne, tyle że w łóżku, u Trawickich w Górkach. Po tygodniu, mogąc już trochę jeść, wyjechał na rekonwalescencję do Chabowskiego, u którego przesiedział aż do wiosny, odwiedzany niemal co tydzień przez zatroskaną Annę. W ciągu dnia zabijał czas lekturą albo wykonywaniem drobnych napraw przy sprzęcie gospodarskim, za to wieczorami często wdawał się w gawędę z sąsiadem Julianem Szmaglińskim, który przychodził wraz ze swoim 17-letnim pasierbem Czesławem Piesikiem. Doceniając bystry umysł i wszechstronne zainteresowania owego młodzieńca, zaczął mu Ludwik udzielać lekcji. Początkowo z angielskiego, później także ze stenografii i fotografiki.

Podczas jednej z wieczornych rozmów w ścisłym gronie Szmagliński opowiedział o niedawnej śmierci swego brata, Jana, wieloletniego sołtysa wioski Zimne Zdroje i Jastrzębie, pod Czerniem. Znany z prawego charakteru i powszechnie szanowany, ukrywał Jan Szmagliński w swoim obejściu poszukiwanego przez Niemców syna sąsiadów. Z końcem grudnia 1939 roku, po zmierzchu, czterech policjanci w pikielhaubach (Schupo) weszli chyłkiem na teren gospodarstwa, podsłuchując pod oknami, czy mówi się po polsku. Nie mieli żadnych obaw. Partyzanci jeszcze nie objawili się w tym rejonie, a okoliczne psy, zgodnie ze specjalnym rozporządzeniem, zostały tydzień wcześniej przyprawione przez właścicieli pod tartak, przywiązane do szyn i później zabite. Tymczasem okazało się, że sołtys ukrył swojego brytana, który teraz wybiegł zza stodoły i wściekle ujadając rzucił się na hitlerowców. Niemal w tej samej chwili został ugodzony kilkoma kulami, ale Niemców tak rozeźliła cała sytuacja, że wyciągnęli Jana Szmaglińskiego na podwórze i zaczęli okładać gdzie popadło, strzelając jednocześnie pod nogi i tuż ponad głowę. Sołtys, nie wiedząc o tym, że ukrywany mężczyzna zdążył uciec przez okno w stronę rzeki, nie wytrzymał obciążenia psychicznego (widział już całą swą rodzinę pod murem) i dostał nagłe ataku serca. Żył jeszcze sześć tygodni. Zmarł 4 lutego 1940 roku.

— W stronę jakiej rzeki uciekł ten ukrywający się mężczyzna? — spytał raptem Ludwik, właściwie niby nie na temat.

— No jak to? — Julian Szmagliński zdziwił się, że można tego nie wiedzieć. — Oczywiście w stronę Czarnej Wody, nad którą rozpościerają się i Zimne Zdroje, i Jastrzębie.

— Czy rzeka płynie na dnie jakiejś kotliny? To znaczy, czy są skarpy?

— Są. Moja siostra Genowefa, zamężna z Józefem Weltrowskim i mieszkająca w Jastrzębiu, ma cały sad i ogród właśnie na zboczu, którego podstawą jest brzeg Czarnej Wody.

— A kim jest ten Weltrowski?

— Ciesłą i rolnikiem. To rzetelny i pracowity chłop. Dobry Polak.

— Hm, bardzo ciekawa jest ta skarpa.

— Dlaczego? — Szmagliński z Chabowskim wybałuszili oczy.

— Dowiedzie się, knopy, w swoim czasie.

Na początku kwietnia 1940 roku dobrze odżywiony i z głową pełną pomysłów udał się Ludwik do Wiela, gdzie u Czapiewskich znowu spotkał Anastazję Zemke. Pokrótce opowiedział jej o swoich perypetiach, pytając jednocześnie, czy sprawa maszyny drukarskiej nadal jest aktualna.

— Jak najbardziej, chłopcze, ale pośpiesz się, żeby cię inni nie wyprzedzili.

— Nie rozumiem.

— No to zobacz — stara panna Zemke wyciągnęła z jakiejś skrytki nieduże podziemne pismo, którego powielany tytuł krzyczał mocnymi literami: „Gazeta Kaszubska”.

— Skąd ciocia to ma?

— No wiesz! Kto dzisiaj zadaje podobne pytania? W każdym razie, o ile mi wiadomo, robią to młodzieńcy z Wiela.

— Szczęść Boże. Jak tylko będziesz gotów, daj mi znać.

Z Wiela udał się Ludwik do Trawickich w Górkach, gdzie zabawił kilka tygodni, ciągle coś rysując i obliczając. Potem znów przyczał się w Marywilu u Chabowskiego. (cdn.)

Weltrowscy

Zbigniew Gach

U progu lata 1940 roku Ludwik Kossak-Główczewski miał gotowy plan założenia podziemnej drukarni w Borach Tucholskich, pragnął jednak wpiernić zdobyć większy zapas papieru i farby drukarskiej, ustalić punkty systematycznego nasłuchu radiowego, pozyskać ludzi umiejących pisać artykuły do przyszłej gazetki i wreszcie zorganizować akcję wywiezienia maszyny drukarskiej z Czerska. To ostatnie zadanie wymagało przeanalizowania wszystkich ewentualności, bo strata maszyny oznaczała praktycznie fiasko całego przedsięwzięcia. W pracach przygotowawczych, poza nieocenioną Anną, pomagał kuzyn Ludwika (wychowany przez jego rodziców w Orłowie), darżlubski leśniczy Jan Kossak-Główczewski, który uciekł hitlerowcom z szeregu jenieckiego pod Bydgoszczą i przedarł się do Wielka. Nauczyciel Józef Skiba zmuszony był odmówić, dając do zrozumienia, że działa już w ZWZ, natomiast łatwo udało się Ludwikowi przekonać dwóch innych znajomych: ukrywającego się polskiego policjanta z Bytoni pod Zblewem — Józefa Grzonkę oraz 19-letniego robotnika rolnego z Będzimirowic pod Czerskiem — Bernarda Babińskiego. Tak powstał załazek przyszłej grupy „drukarzy”.

Prawdopodobnie w sierpniu 1940 roku, idąc z Karsina do Osowa, spostrzegł Ludwik niemieckiego wartownika na niewielkim wzniesieniu. Wcześniej zauważony przez Niemca niżli sam go dojrzał, szedł dalej spokojnym krokiem, poprawiając tylko w kieszeni ulubiony pistolet FL, który odkopała w Starzynie pod organistówką i przywiozła mu oczywiście Anna. Wartownik, mimo obaw Polaka, udał krótkowidza, a nawet ostentacyjnie ziewnął, co zachęciło Ludwika do rozejrzenia się. Nie musiał specjalnie wysilać wzroku, by za wzniesieniem dostrzec kommando młodych, rozebranych do pasa mężczyzn w charakterystycznych spodniach z wielką kieszenią na przodzie lewej nogawki. Po chwili rozmowy z fachowym kierownikiem robót przy nasypie pod kolej wąskotorową (mającą zapewne dostarczać budulca dla autostrady Berlin—Królewiec) wiedział już, co trzeba. Byli to angielscy jeńcy spod Dunkierki, na razie jeszcze zdrowi i uśmiechnięci, w całych mundurach. Kierownik nazywał się Alojzy Cysewski i zapraszał wieczorem na kolację do Karsina. Ludwik zaproszenie przyjął, lecz zanim się oddalił, uciął krótką pogawędkę z jeńcami, przy czym okazało się, że jest drugim człowiekiem w powiecie, który umie po angielsku. Potem jeszcze kilkakrotnie odwiedzał to miejsce, między innymi z Anną i żoną dentysty Dakowskiego; panie częstowały Anglików pieczywami przez siebie „kuchami”, a Ludwik konwersował i robił zdjęcia. Kilka z nich przechowało się do dziś.

Na kolacji u Cysewskiego spotkał Ludwik nową ciekawą postać — 29-letniego Jana Zenona Klamana, miejscowego nauczyciela, który w 1939 roku, po zmobilizowaniu w randze podporucznika do 5 kompanii 114 pułku piechoty, walczył ze swoim plutonem w rejonie Różana, Wyszkowa i Węgrowa, a następnie pod Brześciem i Kobryniem, gdzie 19 września dostał się do niewoli niemieckiej. W krótkim czasie przeszedł trzy oflagi, lądując wreszcie w Hohenstein (Olsztynek). Rozpoznany tam przez niemieckiego karczmarza z Rytla, niejakiego Heldta, jako polski pedagog i w związku z tym prawdopodobnie wytypowany do ewentualnego rozstrzelania w Lesie Szpegawskim, uciekł w Laskowicach z transportu do Chojnic, gdzie Gestapo miało przeprowadzić względem niego ostateczną weryfikację. Przez Tucholę dotarł do Chojnic i Czerska, skąd przy pomocy rodziny przeniknął w okolice Karsina. Po krótkim ukrywaniu się, zaczął pracować u swego teścia, Lubińskiego, jako robotnik rolny. Jednocześnie szukał kontaktu z podziemiem, doszły go bowiem słuchy o powstaniu Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Kaszubski”.

Ludwik, trochę starszy od Klamana, szybko jednak znalazł z nim wspólny język i podczas kolejnego spotkania zapoznał wstępnie ze swym planem powołania do życia drukarni. Klamanowi pomysł musiał się podobać, ale przypuszczalnie zasugerował, że dobrze byłoby związać taką inicjatywę z szyldem jakiegoś podziemnego ugrupowania.

— Krewni mają mnie wkrótce skontaktować z pewną osobą w Czarnej Wodzie. Poczekaj trochę, razem wstąpimy do organizacji, a wtedy nasze poczynania nabiorą innego wymiaru.

— Zgadzam się — odpowiedział Ludwik.

W grudniu 1940 pod Dziemianami Jan Klaman został zaprzysiężony jako „Ludwik” na rotę TOW „Gryf Kaszubski” przez podpułkownika „Rawczyza” (pseudonim-anagram księdza Józefa Wryczy). Jednocześnie mianowano świeżego partyzanta szefem wyszkolenia wojskowego na obszar Karsin-Czersk-Zimne Zdroje, czyli na teren kontrolowany już przez grupę Mariana Szostaka — byłego gimnazjalistę chojnickiego mieszkającego w Czarnej Wodzie. Prawdopodobnie w tym samym czasie, może nawet w tym samym dniu, został zaprzysiężony Ludwik Kossak-Główczewski, pseudonim „Józef”. Ksiądz Wrycza przyjął go szczególnie ciepło, znał bowiem jego ojca, z którym niegdyś pozostawał w serdecznej zażyłości.

Badaj na początku 1941 roku Klamana i Kossak-Główczewskiego poznali 27-letniego podporucznika Jana Szalewskiego, który przed wojną pracował jako sekretarz gminny w Konarzynach Chojnickich i krótko w Kościerzynie, a w czasie kampanii wrześniowej służył w VI batalionie (zapasowym) 36 pułku piechoty. 29 września został wzięty do niewoli pod Warszawą, ale już w tydzień później, wiozony do oflagu, uciekł z pociągu koło Laskowic, by 8 października znaleźć się u rodziny pod Czerskiem. Nigdzie się nie meldował, doniesiono mu bowiem, że figuruje w tak zwanej „czarnej księdze”, wydanej przez Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy. Przy jego nazwisku na stronie 752 widniała duża czarna kropka, co oznaczało, że może być niebezpieczny podczas aresztowania, bo posiada broń.

Jan Szalewski od wiosny 1940 roku zaczął formować partyzancki oddział bojowy, mający operować w rejonie Borów Tucholskich; później grupa ta rozrosła się i zwiększyła zasięg działania, przyjmując — po akcie scaleniowym pomorskich organizacji konspiracyjnych i powstaniu TOW „Gryf Pomorski” (lipiec 1941) — nazwę „Szyszki”. Jako osoba dobrze znająca okolice Czerska, na początku kwietnia 1941 r. poproszony został przez Kossak-Główczewskiego o negocjacje z małżeństwem Weltrowskich w Jastrzębiu koło Łęga — w sprawie zlokalizowania na terenie ich gospodarstwa ziemianki pod przyszłą drukarnię. Przedtem już Ludwik odwiedził Jastrzębie z Julianem Szmaglińskim — bratem Genowefy Weltrowskiej, miał zatem rozeznanie w terenie, który wydał mu się bardzo odpowiedni. Wioska, przycupnięta nad skarpią Czarnej Wody (Wdy), liczyła zaledwie 16 gospodarstw, a zabudowania Weltrowskich znajdowały się na samym skraju, nie opodal boru.

Przy dyskretnym ubezpieczeniu kilku zaufanych ludzi z grupy Mariana Szostaka, Jan Szalewski udał się do Jastrzębia na rozmowę z Józefem Weltrowskim. Trwała ona kilka godzin, lecz nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. Weltrowski, człowiek już blisko 50-letni, w pełni zdawał sobie sprawę z zagrożenia, jakie drukarnia niesła dla niego i jego rodziny: żony, sześciorga dzieci, a także teściowej Marianny (Szmaglińskiej z Odyów) i szwagra Wincentego Szmaglińskiego. Mimo nalegań i wielu argumentów wydanego Szalewskiego, cieśla z Jastrzębia zaledwie 16 gospodarstw, a zabudowania Weltrowskich znajdowały się na samym skraju, nie opodal boru.

— Jeśli zgodzi się moja żona, to ja nie będę przeszkadzał.



Grupa jeńców angielskich sfotografowana latem 1940 roku przez Ludwika Kossak-Głowczewskiego w okolicach Karsina. Pośrodku, w kwiecistej bluzce, Anna Schomburg.



Józef i Genowefa Weltrowscy. Zdjęcie z około 1935 roku.

Repr. fot. Zbigniew Trybek

Na takie słowa podporucznik Szalewski odetchnął i poszedł nad rzekę, gdzie gospodyni płukała bieliznę z kładki. Tu nastąpiła kolejna rozmowa, po której Genowefa Weltrowska złożyła ręce na podółku.

— Ano ufajmy Bogu, że się uda — powiedziała w końcu. — Bez Boga ani do proga.

Szalewski otarł pot z czoła i oznajmił, że szczegóły techniczne ustala już Marian Szostak, Jan Klamam oraz Ludwik Kossak-Głowczewski. Rzeczywiście, w tydzień później trzech mężczyzn zawitało do Weltrowskich, przy czym Szostak wrócił na noc do Czarnej Wody, a Klamam i Kossak-Głowczewski zostali przez kilka dni w Jastrzębiu. Po rozpatrzeniu kilku wariantów usytuowania drukarni, konspiratorzy zgodzili się — za radą Józefa Weltrowskiego — że najlepszym miejscem będzie ziemianka wykopana pod szopą-garażem na powózkę.

Gospodarstwo Weltrowskich było dobrze rozplanowane. Od strony rzeki wyźródlał się kaczycy stawek, graniczący z sadem na łagodnej skarpie. W sadzie często dymił przed wojną piec chlebowy, z którego zapachy niesły się aż za skraj skarpy — na przydomową łączkę, ogród warzywny, szopę z powózką i drewnutnię. Niemal całe podwórze otaczały zabudowania, szauerki i składziki gospodarskie. Prostopadle do szopy z powózką i drewnutnią sezonowały krawędziaki. Potem, nieco w oddaleniu od płotu, głębiła się studnia i strzelał w niebo gołębnik. Dalszą część ogrodu z tej strony stanowiły: świnia, (na zapleczu — wychodek), kurnik, warsztat i wozownia z wasągami. Znow prostopadle do jego szeregu układał się następny, sąsiadujący z podwórzem

krewnych, Ebertowskich: wozownia na sanie, stodoła z dwoma zapolami i klepiskiem, za którym tkwił kierat, wreszcie stajnia-obora. Od strony sąsiadów Nadolnych przytulała się do sztachet jedynie szopka na ściółkę z igliwia, zaś kilkadziesiąt kroków dalej w stronę rzeki stał odsunięty od płotu, za ogródkiem kwiatowym, budynek mieszkalny. Poszczególne kompleksy zabudowań oddzielone były trzema bramami, z których pierwsza prowadziła na nieużytki zwane Parówką i Krzyżykiem, druga do Zimnych Zdrojów i Łęga, trzecia zaś do Jastrzębia.

Po uzgodnieniu z Józefem Weltrowskim wszystkich ważniejszych kwestii dotyczących bunkra-ziemianki, Klamam i Kossak-Głowczewski wyjechali; z tym, że ten drugi miał niebawem wrócić i zamieszkać na stałe jako szef grupy „Drukarnia”. Prawdopodobnie około 20 kwietnia 1941 roku przybył Ludwik do Jastrzębia z mocno wypchaną walizką, w której przytaszczył między innymi pierwszą partię papieru i farby drukarskiej. Był już wtedy po wstępnym szkoleniu poligraficznym u Kazimierza Zimnego w Chojnicach, od którego dostał ponadto cztery wieczne pióra — dwa „Mont Blanc” i dwa „Kuli”.

Małżeństwo Genowefa i Józef Weltrowscy wcześniej przygotowali swoje potomstwo na dłuższy pobyt obcego pana, polecając służyć go, być uprzejmym i serdecznym. Zarówno pełnoletni Dawid i Regina, jak młodszy Józef, Zygfryd, Jan, Genowefa — otrzymali surowe przykazanie, by wszystkim, którzy będą pytali o „wujka”, mówić, że to daleki krewny z Kaszub. Ludwik był naprawdę zaskoczony, gdy pierwszego dnia wielokrotnie usłyszał wymawiane z kocięską, ugrzecznione „ja, pan” („tak, proszę pana”). Zwrot ten zresztą na tyle mu się spodobał, że spożytkowany został dla sklecenia nowego pseudonimu.

— Jestem zwykle „Józefem” lub „Hubertem” — wyjaśnił — ale dla was będę od dziś „Japanem”, zgoda?

Annę, która zaczęła rychło odwiedzać Ludwika, Weltrowscy już z własnej inicjatywy nazywali „Japanową” — i tak pozostało do końca wojny.

W ostatnich dniach kwietnia „Japan” odebrał od rodziny Weltrowskich przysięgę na wierność „Gryfowi Kaszubskiemu”. Pierwsza potwarzała rolę Marianna Szmaglińska, potem jej zięć Józef Weltrowski (rocznik 1892) i córka Genowefa Weltrowska (r. 1894, żyje do dziś), na koniec dwoje najstarszych dzieci Weltrowskich. Pozostałe, jako niepełnoletnie, zostały poproszone oddzielnie, a z każdym jeszcze „Japan” przeprowadził długą rozmowę wyjaśniającą; przysięgę składali w obecności rodziców, potem całowali krucyfik. Najbardziej chyba żarliwie powtarzał patriotyczno-religijną formułkę 17-letni Józef-junior Weltrowski, któremu — jak później opowiadał — stanęły przed oczami postacie nauczyciela z Zimnych Zdrojów, Władysława Szablewskiego, rozstrzelanego w Szpagawsku, oraz proboszcza Bernarda Bączkowskiego z Łęga, zamęczonego przez hitlerowców w kotle z wrzącym asfaltem.

Z całą pewnością jeszcze przed 1 maja Józef-senior Weltrowski nie tylko przedyskutował z „Japanem” ostateczne położenie, wytlumienie, wentylację i wytrzymałość bunkra-drukarni, lecz również skrzyknął zaufanych ludzi i zrobił z nimi znaczną część wykopu. Wydobyty piasek nosiło się nocą do bajorka albo wyrzucało wprost do rzeki. Dzieci wysypywały mniejsze ilości w jeżyny na skarpie. Po dojściu do dwóch trzecich zaplanowanej głębokości, trzeba było jednak przerwać pracę, bo nie umocnione piaszczyste ściany zaczęły się zbyt mocno osypywać, grożąc przewróceniem szopy. Wówczas Józef-senior wpadł na pomysł skonstruowania z belek czegoś w rodzaju wielkiej klatki o kubaturze przyszłego bunkra. Wraz z pogłębianiem dołu upychano teraz na zewnątrz „klatki” coraz nowsze deski, zabezpieczające wykop, a jednocześnie stanowiące już ściany bunkra.

Po zakryciu gotowego wykopu, Józef-senior z własnej inicjatywy postawił w ciągu trzech dni mowy, 2-metrowy, nie posiadający szpar płot z litych desek — na styku podwórek Weltrowskich i Nadolnych. Tak na wszelki wypadek, bo Nadolni nie byli krewni, w przeciwnieństwie do Ebertowskich, graniczących z drugiej strony. (cdn.)

Japan (7)

AKCJA „D”

Zbigniew Gach

Dzień „zero” wyznaczony został na 6 maja 1941 roku. W poprzedzającą noc lunęło jak z cebra, lecz rano wypogodził się modry i rześki. „Japan” Koszak-Główczewski już wcześniej dał znać do Wieia, by Anastazja Zemke koniecznie czuwała w Czersku. Do ostatniej chwili tylko on jeden panował nad sytuacją, znając zarówno miejsce ukrycia maszyny drukarskiej, jak i odrębne składowisko czcionek oraz bunkier pod drukarnią. O świcie, jako komendant akcji „D” (drukarnia), zwołał w Jastrzębiu na odprawę dziesięciu wspaniałych, od których w danej chwili zależało, czy ujrzy światło dzienne nowe podziemne pismo. Byli to: Jan Klamana, Marian Szostak, Józef-senior Weltrowski, Józef-junior Weltrowski, Dawid Weltrowski, Wincenty Szmagliński, Roman Łacki (nauczyciel z Lasków koło Legbąda) oraz Grzywacz (kolejarz z Czerska), Kuśnierz i Dalkowski.

Józef-senior Weltrowski i jego dwaj starsi synowie zobowiązani byli przewieźć do Jastrzębia „tylko” skrzynie z czcionkami, dlatego nie zostali poinformowani przez „Japana” o innych szczegółach akcji. Z kolei grupa wyznaczona do transportu maszyny drukarskiej miała jedynie mgliste pojęcie o tym, co i gdzie będą robić trzej Weltrowscy. Ruszyli jednak wszyscy wspólnie, około godziny 9.00, parokonnymi zaprzęgami przez Łąg do Czerska. Dzień był targowy, zatem w okolicy kręciło się sporo furmanek. Przodem, na dwóch pożyczonych wraz z końmi wozach, pojechali „Japan”, Klamana, Szostak, Szmagliński i obstawa. Z tyłu nieśpiesznie potoczyła się furmanka Weltrowskich, zaprzężona w siwego „Szymka” i w „Gniadą” sołtysa. Od progu domu żegnała odjeżdżających znakiem krzyża Genowefa Weltrowska, mrucząc:

Z Bogiem, z Bogiem każda sprawa —
Tak mawiali starzy —
Bo kto idzie zawsze z Bogiem,
Wszystko mu się darzy.

Przed Czerskiem furmanki rozdzieliły się. Dwie pierwsze poturkotały odmiennymi drogami ku temu samemu celowi — mieszkalnemu barakom nie opodal dworca. Natomiast zaprzęg Weltrowskich wjechał pod jakimś pretekstem w obejście gospodarza nazwiskiem Guz, aby przeczekać do godziny 11.40. Było to ważne z bardzo określonego powodu.

Znalazłszy się w pobliżu dworca, „Japan” zdjął rower z wozu i popedałował na rozpoznanie.

— Już się zaczynałam niepokoić! — krzyknęła w drzwiach baraku zamieszkałego przez siostry Brzezińskie ucieszona pani Zemke, widząc zziąjanego cyklistę. — Gdzie reszta, Ludwiczku?

— Czekają w pobliżu, ciociu. Zaraz ich przywiode.

— Dobrze, dobrze, nastawię tymczasem wodę na herbatę. Zjecie coś?

— Ależ ciociu! Ani picia, ani jedzenia. Róbmy rząd, idźmy stąd. Lepiej, żeby nasza obecność nikomu nie rzuciła się w oczy.

— No to... jak uważasz. Jeśli będę potrzebna, znajdziesz mnie w pokoju. Maszyna jest w tamtej szopie. Do kompletu należy również stół intraligatorski.

— Dziękuję...

W pięć minut później do ogrodu za barakiem wjechały dwie furmanki z partyzantami. Kilku poczęło

zaraz ochoczo ściągać marynarki przed pracą, lecz „Japan” powstrzymał ich przyciszonym rozkazem: — Broń przy sobie!

Wbrew zapewnieniom sprzed paru chwil, ciocia Zemke, okryta ciepłą chustą, wyszła na dwór, by w towarzystwie swej bratanicy Eryki Drażkowskiej pogaworzyć z młodzianami. Nobliwa, dobrodusznna postać natychmiast wpłynęła kojąco na stan nerwów zarówno „Japana”, jak i pozostałych „chłopców z lasu”. Temu i owemu zachciało się nawet pokazać, jaki jest silny, któryś zagwizdał, inny rzucił dowcipem. „Japan”, ustaliwszy, co jest do załadowania, zaczął dyrygować pracą — w przenośni i dosłownie. Ludzie stykający się z nim wiedzieli, że kiedy coś tłumaczy, często posiłkuje się płynnymi gestami przypominającymi właśnie dyrygenta przed chórem.

Po kilku banałach na temat pogody, Anastazja Zemke zeszyła na temat najbardziej ją nurtujący.

— W Borach Pomorskich z głodu chyba nie pośniecie. Któryś na pewno umie kłusować. Mój brat Antoni, świętej pamięci, z gołymi rękami mógł wędrować przez puszcę i zawsze coś upolował. Taką miał smykałkę. Zresztą, jak nie zwierzyzna, to ryby. Czytałam gdzieś, że między Brdą i Czarną Wodą zawiera się 450 jezior. Toż w nich szczupaki, liny, karaski, okonki...

— A jak ktoś ma więcej szczęścia, to i karpie, węgorze, sandacze, leszcze — rozmarzył się któryś z ludzi Klamana.

— I kiełbie we łbie — uciął „Japan”.

— Nie lekceważ, Ludwiczku, żadnej możliwości. Przecież w takiej ziemiance może was nie raz przycisnąć.

— Ciociu, w jakiej ziemiance... — zaczął „Japan”, ale ugryzł się w język.

— Wiem, co mówię, Ludwiczku. A w rzekach są kłewie i pstrągi, które nazywamy bzdragami. Kiedyś była również obfitość raków, i to taka, że Lasacy świnię nimi karmili. Podobnie z uklejkami...

— Ciociu...

— Uklejki zresztą łowiło się jeszcze dla łusek, sprzedawanych do fabryk sztucznych pereł. Po prostu w szklane kuleczki, puste w środku, wleczano klej z zawieszoną mielonych łusek. Wychodziły z tego cudności. Mieniły się jak prawdziwe... Oooch!

„Japan” spostrzegł raptowną zmianę na twarzy ciotki i powędrował za jej wzrokiem. To, co ujrzał, kazało mu odruchowo wsadzić dłoń do kieszeni marynarki, gdzie palce w ciągu sekundy spocily się na kolbie pistoletu. Dwaj ludzie Klamana w poplochu cofnęli się do szopy, odbezpieczając broń. Reszta zastępała jak zaczarowana pośrodku podwórza, obok spiętrzonych skrzyń i części oprzyrządowania.

— Uwaga, róbcie dokładnie to, co powiem — wycedził „Japan” przez zęby i wolno ściągnął marynarkę, wciąż obserwując kątem oka patrol dziesięciu uzbrojonych policjantów, którzy skreśliłi rowerami z głównej szosy w drogę prowadzącą koło ogrodu. — *Bewegt euch schneller, zum Teufel!* (Ruszajcie się szybciej, do diabła!) — ryknął nagle, a potem, przechodząc na dialekt berliński, dorzucił: — *Vor der Mahlzeit haben wir noch viel zu machen! Hebt endlich det Ding uff de Fuhre!* (Przed obiadem mamy jeszcze dużo roboty! Podnieście no wreszcie tę rzecz na wóz!)

Policjanci przystanęli obok płotu i przez dłuższą chwilę słuchali krzyżącego na robotników inżyniera, z uznaniem kiwając głowami: — *Ja, ja, schön, richtig.* — Następnie znów uformowali się i ruszyli w stronę lasu.

— Możesz już przestać się wydierać — powiedział wreszcie Klamana, ocierając pot z czoła. — Występał ci się na medal.

— „Schupy” jadą pewnie szukać partyzantów — z wysiłkiem uśmiechnął się Szostak.

— Możliwe. Ciociu, daj trochę wódki — zachrypiał „Japan”, straciwszy połowę głosu. — Bardzo zmęczyły mnie te wrzaski „für Sieg”.

— To dziwne, ale nogi wrosły mi w ziemię — popłakała się ciotka. — Eryko, przynieś panom nalewkę.

Wszyscy, łącznie z paniami, lyknęli wiśniówki, po której partyzanci ruszyli do załadunku ze zdwojona

energią. Przed godziną pierwszą furmanki były gotowe do drogi.

— Może jednak coś zjecie? — spróbowała ostatni raz gospodyni.

— Nie, ciociu — „Japan” spojrział jej w oczy — natychmiast odjeżdżamy. Dziękujemy i do zobaczenia, cmok, cmok.

— Niech was Bóg prowadzi.

Z sercem pełnym radości odprowadził „Japan” wozy do Będzimirowic, wydając ostatnie instrukcje.

— Wezmę teraz rower i pojedę zobaczyć, co działo się Weltrowscy — powiedział do Klamana i Szostaka, gdy w oddali ukazała się wieża kościoła w Łęgu. — Może was jeszcze dogonię przed Jastrzębiem, a jeśli nie, szykujcie ucztę i czekajcie.

Tymczasem Weltrowscy, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, za dwadzieścia dwunasta opuścili gościnną zagrodę Guza i podcięli konie w stronę centrum Czerska. Mijając rozmaite sklepy i magazyny, szybko dotarli do składu żelaznego po Edmundzie Jagalskim (zaplecze dzisiejszej restauracji „Pomorzanka”), rozstrzelanym przez hitlerowców razem z doktorem Zemkem. Obecnie panoszył się tu Treuhänder Friedrich Raddatz, który zaczął swe rządy od wprowadzenia ścisłej przerwy obiadowej. Jeśli jakaś furmanka wjechała na podwórze tuż przed godziną 12.00, musiała czekać ponad godzinę, bo z wybieciem południa pracownicy znikali jak kamfora, a dozorca zamykał ciężką bramę, by otworzyć ją dopiero punktualnie o 13.00.

Planując akcję, „Japan” postanowił wykorzystać ową pedanterię, ponieważ właśnie u Jagalskiego, pod stertą żelastwa, ukryte zostały czcionki drukarskie. Trudno dzisiaj orzec, czy leżały tam długo; trudno stwierdzić, czy na pewno pochodziły z drukarni doktora Zemkego. Istnieje większe nawet prawdopodobieństwo, że stanowiły własność kogo innego, mianowicie Otona Sabiniarza, który od lutego 1928 do końca sierpnia 1939 roku wydawał w Czersku „Echo Borów Tucholskich”. Sabiniarz miał dom naprzeciw Jagalskiego i był z nim w zażyłości (między innymi obaj należeli do Związku Zachodniego), znajdując zresztą potem miejsce we wspólnej mogile. Wiadomo tylko tyle, że w pierwszych dniach wojny młodziutcy synowie Sabiniarza, Henryk i Tadeusz, wywieźli czcionki z drukarni ojca do domu Szlachcickowskich przy ulicy Mleczarskiej.

Tak czy owak, dwa worki różnych blaszek i osiem skrzyń czcionek czekało 6 maja 1941 roku na placu składowym jako „części dla młyna w Zimnych Zdrojach” — do odebrania przez cieślę Józefa Weltrowskiego. Pięć minut przed dwunastą furmanka Weltrowskich zaturlotała obok bramy, przy czym dwaj Józefowie, ojciec i syn, wjechali w obręb podwórza, a Dawid został z rowerem po drugiej stronie ulicy jako czujka i łącznik-informator na wypadek przybycia „Japana”. W piersiach obu Józefów ciężko waliły serca, w kieszeni Dawida ciężko dyndał pożyczony 11-strzałowy pistolet, a dozorca lekkim ruchem zamykał bramę.

Na podwórzu pod dachem stały kosy, grabie, łopaty, siekiery, kłębiły się druty i łańcuchy, polyskiwały w skrzyniach śruby, nakrętki, gwoździe.

— Musicie poczekać do końca przerwy! — krzyknął nagle z głębi szopy robotnik placowy.

— Jestem Józef Weltrowski — odpowiedział cieśla z Jastrzębia.

— Po części do młyna Malkego?

— Teraz Malkego, przedtem Prillów.

Robotnik wyszedł na słońce i uważnie otaksował przybyszy.

— Witajcie — mruknął ścisłym głosem po polsku. — Najpierw trzeba odwalić trochę ziomu, potem dobierzemy się do „miodu”.

Przez blisko pół godziny odrzucali na inną stertę jakieś sztaby, blachy i kątowniki, zanim dotarli do dna. Leżały tam, jeden obok drugiego, płaskie drewniane pojemniki, przypominające skrzynki do transportu ryb.

— Podjedźcie bliżej — doradził robotnik — tyłem na szopę.

Józef-junior błyskawicznie chwycił za lejce i przestawił zaprzęg.

— Dobra, teraz ja z jednym będę łądował, a drugi poukłada.

Józef-senior podniósł z robotnikiem pierwszą skrzynię i ustawił na wozie.

— Jezu, ile to waży! — stęknął Józef-junior przy pierwszym szarpnięciu, lecz widząc, że ojciec z robotnikiem idą już po drugi pojemnik, napiął mięśnie i wolno pociągnął ciężar ku przodowi.

Mimo pośpiechu, załadunek samych skrzyń trwał blisko kwadrans, a trzeba było jeszcze odgrzebać i przynieść z innej szopy nielekkie worki. Wreszcie, kiedy również ten „miód” przykryto słomą i Weltrowskim zdało się, że koniec mordegi, robotnik ostatni raz poderwał ich do wysiłku:

— Wasza furmanka już się ugięła, ale trzeba ją jeszcze doładować, żeby nie podpadło. Wrzućcie po dwadzieścia prętów i kątowników, dodajcie parę skrzynek gwoździ i śrub.

Weltrowscy bez słowa ruszyli do szopy. Na szczęście „Japan” przewidział taką sytuację, mieli więc przy sobie marki — od Ignacego Ebertowskiego i Mariana Szostaka, którzy zarabkowali w niemieckich przedsiębiorstwach. Wybrawszy na chybił-trafił trochę żelastwa, wrzucili je na wóz. Byli złani potem i mocno robili piersiami, lecz promieniowało z nich zadowolenie.

W dwie minuty później na placu pojawił się urzędnik, który po ustaleniu z robotnikiem ilości pobranego materiału, wypisał rachunek. Józef-senior poszedł do kasy i w chwilę później okazywał już kwit przy bramie. Nareszcie wyjeżdżali. Dygotając ze zdenerwowania Dawid podskoczył do nich z informacją, że pozostałe dwie furmanki opuściły już Czersk.

— Chwała Bogu! — westchnął Józef-junior.

— Będę wam towarzyszył do Będzimirowic, a potem pojedę przodem — dorzucił Dawid. — Przez jakiś czas może was ubezpieczać także „Japan”. Prowadzi swój rower dwieście metrów za nami.

„Japan” rzeczywiście szedł w tyle i dane mu było przeżyć tego dnia jeszcze jedną niemiłą sytuację. U wylotu z miasta nadział się na oddział Hitlerjugend, którego przywódca, 17-letni podkasany blondyn, parsknął nagle, że ten oto przechodzień z rowerem nie okazuje należytego szacunku młodzieży niemieckiej.

— A cóż to — warknął „Japan”, wkładając dłoń do kieszeni marynarki — może powinienem klęknąć przed cudownym przemarszem?!

Na taką odpowiedź kilku szukających zaczepki młodzików ruszyło w jego kierunku z zacisniętymi pięściami. Jeszcze moment, a polałaby się krew, lecz wówczas „Japan” spostrzegł, że w bitewnym zapale porzucony został na chodniku porządek oddziału. Umiejętnie wykorzystując ten fakt jako argument, zamknął gębą blondynowi i spowodował odmarsz młodych hitlerowców. „Ufff, dosyć na dziś” — powiedział sobie, wsiadając na rower. Po chwili dogonił furmankę Weltrowskich i razem z Dawidem popędził do Jastrzębia.

Jednakże nie była to ostatnia przygoda w czasie akcji „D”. Pod Będzimirowicami na furmankę Weltrowskich wypadł od strony Starogardu niemiecki motocyklista, wrzeszcząc i dając znaki, że mają się na baczność usunąć z drogi, bo zaraz będzie tędy przejeżdżał transport wojenny. Nie mając innego wyjścia, Józef-senior skręcił końmi w prawo, w lichą drogę, powodując po kilkudziesięciu metrach zarżnięcie drewnianych kół w piachu.

— Teraz jesteśmy urządzeni — jęknął Józef-junior.

— Trzymajcie lejce — powiedział ojciec, po czym zdjął z wozu swój rower i ruszył do Będzimirowic.

Nie było go ponad trzy godziny, a przez cały ten okres Józef-junior trząsł się ze strachu, obserwując nie kończący się sznur wojskowych samochodów, dział, sanitarek i kuchni polowych. Wreszcie około godziny 17.00 Józef-senior powrócił na furmance, którą powoził wesoły 19-latek z Będzimirowic — „Szary” (Bernard Babiński), wciągnięty do konspiracji przez Józefa Grzonkę i zaprzysiężony jesienią 1940 roku. Przy jego pomocy Weltrowscy szybko przeładowali część żelastwa na nową furmankę. Teraz

mogli już jechać swobodnie, lecz aby nie kusić licha, wybrali okólną drogę przez Szary Kierz.

Do Jastrzębia dotarli po zmierzchu, witani ze spon-taniczną, rozluźnioną radością. Genowefa Weltrow-

ska, która od zamknięcia kur nie zesła z ganku, ścikała w rękę różaniec. Pewnie tylko dlatego miała jeszcze suche oczy. (cdn.)

W tym roku mija 30 lat od zawiązania się Zrzenia Kaszubskiego, które — rozszerzając krąg zainteresowań — przyjęło później nazwę: Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie. W związku z tą rocznicą zwróciliśmy się do grona osób, którym sprawy naszego regionu są szczególnie bliskie, z prośbą o podzielenie się refleksjami na temat obecnego kształtu ruchu kaszubsko-pomorskiego, jego dokonań, a zwłaszcza aspiracji, które będą wpływać na program i działalność Zrzeszenia w przyszłości. Otrzymaliśmy, jak dotąd, niezbyt wiele wypowiedzi. Rozpoczynając w tym numerze „Pomeranii” druk już nadesłanych, liczymy, że ośmielą innych do zabrania głosu. Wyrażają one różnorodne opi-

nie, nie zawsze pokrywające się ze stanowiskiem redakcji. Władze Zrzeszenia, jak już informowaliśmy, nie przewidują z okazji jubileuszu jakichś szczególnych uroczystości, co nie oznacza, że przejdzie on zupełnie nie zauważony: w dziejach pomorskiego ruchu regionalnego nie było organizacji z tak długim stażem. Bardziej od fajerwerków jest nam jednak potrzebna właśnie refleksja nad tym, co było, w imię tego, co będzie i być powinno. Tym bardziej, że przypadający w grudniu jubileusz zbiega się z terminem kolejnego zjazdu Zrzeszenia. Okazją do debaty jest więc podwójna. Zachęcamy do wzięcia w niej udziału. (Red.)

W czas jubileuszu BUDZENIE RADOŚCI

Józef Ceynowa

Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, będące organizacyjnym ujęciem ruchu kaszubsko-pomorskiego, działalnością swoją obejmuje regiony i podregiony pomorskie, działa na terenie kilku województw i ma tu, mimo złożonych i trudnych warunków pracy, duże osiągnięcia. Stojący na boku prac społecznych winni je widzieć. Winni je widzieć też wszyscy zainteresowani rozwojem gospodarczym i oświatowo-kulturalnym pracownicy urzędów terenowych i państwowych, decydenci od „niesienia pomocy” społecznikom i ich stowarzyszeniom.

Osiągnięcia swe Zrzeszenie zawdzięcza ofiarności członków i sympatyków rozsianych po całym kraju a i poza krajem; wielkie zasługi w tym mają Zarząd Główny i zarządy poszczególnych jego oddziałów, które oczywiście różnią się między sobą swym formatem i prężnością działania.

Zrzeszenie skupia ludzi, którzy dla wykonywania swych pomysłów niekiedy muszą występować z wnioskami (niekoniecznie związanymi z finansami) o pomoc do władz terenowych lub państwowych, czy choćby o aprobatę swych poczynań, co nie zawsze i nie wszędzie daje pożądany rezonans, a często napatyka na odmowę. Ten, nieraz pejoratywny, stosunek do wnioskodawców zwykle jest powodowany brakiem zaufania.

Już w roku 1968 w Biuletynie ZK-P (nr 5) Jerzy Kiedrowski pisał: „Działacze Zrzeszenia winni być wszędzie tam, gdzie społeczne działanie ma konkretny sens, gdzie istnieje konkretna potrzeba ...”. Tam gdzie nas nie ma, tam nas nie widzą, mogą oceniać negatywnie, tam gdzie jesteśmy, możemy w oparciu o obowiązujące prawa demokratyczne dyskutować na korzyść wysuwanych przez nas spraw, krytykować, jeśli zaistnieje potrzeba.

Nasza, umiejętnie redagowana „Pomerania” służy przeważnie elicie duchowej. I chwala jej za to, bo transmituje wartości do pracujących w szkołach, świetlicach, bibliotekach, domach kultury. Niech to robi dalej, ale obok niej Zrzeszenie winno dążyć do ustanowienia osobnego pisma dla szerokich mas regionów pomorskich, możliwie sprężonego z „Pomeranii” i podobnego do dwutygodnika „Kaszëbe”, redagowanego przez Tadeusza Bolduana. Niechby w tym piśmie się wypowiadali na tematy aktualne robotnicy fabryczni i portowi, stoczniowcy, chłopci, pracownicy gospodarstw uspołecznionych, a i młodzież; niech krytykują różne poczynania, stawiają tezy kontrowersyjne; niech piszą o tym, co ich cieszy i boli, byleby bałamuctwa były prostowane. To wszystko ożywi czytelnictwo i przysporzy organizacji członków, umniejszy obojętność i wzmocni wiarę we

własne siły. Sądzę, że pismo takie zdobyłoby sporo prenumeratorów. A więc — miesięcznik, jakim jest „Pomerania” dla inteligencji pomorskiej, i tygodnik dla szerokich odbiorców z miast i wsi, naturalnie nie zhierarchizowany w tym kierunku, lecz podzielony tematycznie, w zależności od aktualnych zainteresowań swych czytelników. Moc ożywcza prasy może być wielka, wszak w latach niewoli gazety nasze były budzicielami ducha narodowego, dźwignią patriotyzmu i ofiarności społecznej na rzecz budzącej się do życia Ojczyzny, na rzecz naszego państwa. Nowa gazetka winna też być doradczynią dla swych czytelników w sprawach życiowych, coraz to bardziej skomplikowanych, nawet na co dzień, ich przyjaćiolką. Naśladujmy w tym względzie Tadeusza Bolduana, naśladujmy i Wiktora Kulerskiego. Od strony organizacyjnej stać na to Zrzeszenie.

Jest jeszcze druga dźwignia życia kulturalno-oświatowego i społecznego — właściwie prowadzona regionalizacja nauczania, zwłaszcza w szkołach podstawowych, należycie ukierunkowane i prowadzone kółka zainteresowań, świetlice, biblioteki, domy kultury. Regionalizacja powinna leżeć u podstaw każdego nauczania i każdego oświatowo-kulturalnego działania, w niej źródło miłości do kraju. Od domu rodzinnego i wsi do poznawania Ojczyzny, od miłości do matki do ukochania całego kraju — to dydaktyczno-pedagogiczne truizmy, ale jakże trudne do stosowania w realizowaniu prześladowanego materiałem pobocznym programu nauczania, szczególnie dla nauczyciela nie znającego przeszłości okolicy, w której uczy, nie rozumiejącego tak dobrze się wysłowić jak dziecko miejskie, do szkoły specjalnej jako słabo rozwiniętego umysłowo, co niestety, zdarzało się psychologom szkolnym, opierającym się w tym wstępnym selekcyonowaniu o szablonowe kwestionariusze i krótkie, zdawkowe rozmowy, prowadzone wyłącznie w polskim języku literackim.

Nurtuje sprawa budzenia radości przez rozśpiewanie — ileż w tej dziedzinie jest do zrobienia... Dawniej w każdej większej wsi był chór ludowy, był i zespół amatorski. Organizowano popisy zjazdowe, a współzawodnictwo wyzwało twórcze siły. Zrzeszenie też stara się to robić, organizując różne konkursy, ale ogół, flamszony słabo ukierunkowanymi popisami radiowych i telewizyjnych piosenkarzy szlagierowych, traci poczucie piękna i chęć do śpiewania. W szkołach wychowanie muzyczne, ze względu na rozbudowaną w nim teorię, nie bardzo służy rozśpiewaniu, młodzież słabo śpiewa, mało zna pieśni ludowych, utyka w śpiewaniu pieśni patriotycznych. Organizatorzy oficjalnych imprez zaczynają posługiwać się nagraniami. To wszystko niepokoi. Tu trzeba

Japan (8)

JEST!

Zbigniew Gach

Wszystkich ze ścisłej obsługi drukarni czekała teraz nielicha mordęga. Po ustawieniu pedalówki na drewnianej podstawie i przykryciu bunkra kilkumetrowym stropem (belki, deski sufitowe, trociny, piasek, legary, deski podłogowe), należało się wziąć za czyszczenie naftą każdej z kilku tysięcy czcionek. Uciążliwość tej pracy, przy której zatrudnieni zostali głównie Józef-junior Weltrowski i jego starsza siostra Regina, potęgowało używanie lampy żarowej, zasilanej smrodliwym acetylenem z karbidu.

W tym czasie „Japan” pojechał gdzieś po belę białego, grubego papieru rzeźnickiego, dostarczoną bodaj z Chojnic przez Jana Dominika. Józef-senior Weltrowski skonstruował solidny stół zecercki z odpowiednimi przegródkami na litery, cyfry, znaki, ornamenty i elementy justunku. Wincenty Szmagliński, mechanik o złotych rękach, systematycznie dobierał różne brakujące części; między innymi konieczne przy maszynie drukarskiej wałki gumowe złożył z metalowych trzpieni obciążonych kawałkami gumowego węża, a ramę matrycy i szufelki zecerckie do składania szpałt wykonał z oszlifowanego kątownika.

Brak imadła czcionkowego, czyli wierszownika, zmusił „Japan” do składania próbnych wersów w palcach (dopiero później Józef-senior Weltrowski zrobił mu przyrząd z kawałku dębu). Było to żmudne i wymagało wielu godzin ślęczenia w niedoświetlonej wierzni, ale oberdrukarz — choć jednooki i nerwowy — w tym wypadku nie mógł się nikim wyręczyć. Zdając sobie sprawę, że sam również nie przechrzty chochlika, pragnął jednak ograniczyć jego psikusy. Dlatego mimo iż czcionki wielokrotnie sypały mu się z rąk, zaciskał zęby i wolno składał wyraz po wyrazie, wiersz po wierszu, akapit po akapicie. Oddzielał przy okazji litery zoksydowane przez wilgoć, zachowując je jako rezerwy do uzdatnienia.

Wszakże zanim jeszcze zrodził się pierwszy skład, na porządku dziennym stała sprawa tytułu gazetki. Nie sposób dziś ustalić, kto ostatecznie wymyślił „Głos Serca Polskiego”, niektóre bowiem poszlaki wskazują na „Japan”, inne na Mariana Szostaka. Pewne jest tylko, że półokrągła winieta miała przedrzeć się ukazującą się w Gdańsku gazdinową „Danziger Vorposten”.

Równocześnie z przygotowaniem czcionek i maszyny drukarskiej trwały dalsze prace przy wygłuszeniu, wentylacji i zamaskowaniu drukarni. Właz do bunkra został skonstruowany jako szczelnie dopasowana, czworokątna, płytka donica wypełniona piaskiem z trocinami. Po jej uniesieniu i odstawieniu na bok schodziło się dwoma wysokimi stopniami w głąb ziemianki. Właz był jednocześnie otworem dającym przeciąg. Kiedy należało dobrze wywietrzyć drukarnię, unosiło się w jednym czasie i donicę i przegrody kanału wentylacyjnego, którego koniec wychodził w sągu gospodarskiego drewna na skarpie. Niemal nad całym stropem bunkra rozplantowano i ubito nową ziemię, po czym na wierzch zwalono jeszcze wysoką stertę siana. Dźgali ją później Niemcy bagnietami, nie domyślając się nawet, co jest pod klepiskiem.

Pierwszy, jeszcze bezproduktywny ruch maszyny drukarskiej odbył się prawdopodobnie pod koniec sierpnia 1941 roku. Kołem zamachowym kręcili na zmianę Józef-junior Weltrowski i Wincenty Szmagliński, a „Japan” z Józefem-seniorem chodzili do-

okoła obejścia, pilnie nasłuchując. W bezpośrednim pobliżu szopy rozlegał się stłumiony, miarowy stukot — jak gdyby ktoś rznął sieczkę — jednak z odległości pięćdziesięciu kroków nie dochodził już do uszu ludzkich żaden podejrzaný dźwięk, zwłaszcza gdy po podwórzu biegało ptactwo. Podobny eksperyment powtórzony został kilkakrotnie — przy różnych kierunkach wiatru i podczas upału i mżawki, w dzień i w nocy. Wnioski nasuwały się same: nie należało drukować nocą ani podczas dni z dużą wilgotnością powietrza. Wiatr był sprzymierzeńcem tylko wówczas, gdy dmuchał od strony wioski, dawał bowiem również możliwość porządnego wietrzenia ziemianki. Dla pewności ustalono, że podczas efektywnej pracy drukarni wystawione będą czujki.

Dzięki drewnianej obudowie, stercie siana nad stropem i usytuowaniu w obrębie szopy, bunkier wydawał się dosyć ciepły, odpadała więc konieczność wstawiania zimą żelaznej kozy, która byłaby dokuczliwym rekwytem. Oprócz przerw na wietrzenie, wejście do ziemianki miało być zawsze obsypane piaskiem, zakryte luźnymi deskami i zastawione powózką. Powodowało to konieczność stworzenia systemu porozumiewania się z drukarzami — głównie na wypadek niebezpieczeństwa. Rada w radę postanowiono, że za pomocą cienkiego, mocnego sznurka, którego koniec wyprowadzony zostanie obok drukarni, osoba z zewnątrz będzie mogła uruchamiać specjalną kołatkę w bunkrze, przy czym określona ilość pociągnięć oznaczać będzie dla drukarzy wezwanie na posiłek czy nocleg albo nakazanie ciszy w sytuacji zagrożenia.

Największym zgrzytem „Japan” po przygotowaniu bunkra stał się nikły zapas farb graficznych, co bowiem znaczyło kilka tubek wobec zamiaru regularnego wydawania „Głosu Serca Polskiego” — choćby co dwa tygodnie w nakładzie kilkuset egzemplarzy. Kolejne wyprawy do Chojnic, Grudziądza, Pelplina i Tczewa przynosiły bardzo nikłe efekty, ponieważ brak było kontaktu z jakąś zaufaną osobą pracującą w niemieckiej drukarni. Stosowanie tych farb, które już zostały zdobyte, też nastęrczało trudności. Nieodpowiednio rozcieńczone lub nierównomiernie nałożone, mazały się na rzeźnickim papierze, wyrwijając z ust drukarzy zawile korowody przekleństw. W chwilach desperacji „Japan” usiłował samodzielnie tworzyć odpowiednie mieszanki, lecz albo nie znał właściwości pigmentów, albo dobierał nieodpowiednie środki wiążące, bo to, co uzyskiwał, nadawało się do wyrzucenia. Nie powiodła się nawet próba zmieszania prostej czerni drukarskiej z pokostu i sadzy.

Jednak metodą doświadczeń udało się wreszcie opanować technikę szybkiego i równomiernego nakładania czernidła ręcznym wałkiem, z jednoczesnym wrzucaniem arkusza przyciętego papieru na odchylony docisk. Razem z „Japanem” uczyli się tej sztuki Wincenty Szmagliński, Józef-junior Weltrowski, Regina Weltrowska (po wojnie — Wons) i dorywco Anna, która po starym odwiedzała swego Ludwiczka co najmniej raz w tygodniu. Genowefa Weltrowska trochę z początku mruzczała, że to obraza boska iść z mężczyzną do łóżka bez ślubu, ale „Japan” szybko ją uspokoił:

— Sam ksiądz Józef Wrycza potwierdził nasze prawo do siebie.

— A kto to? Biskup jaki?

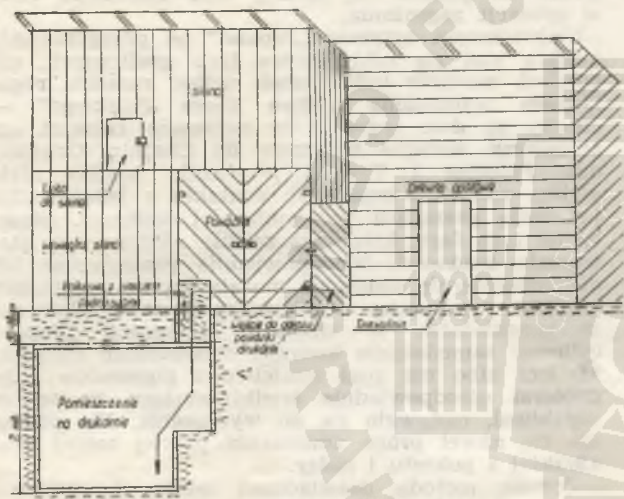
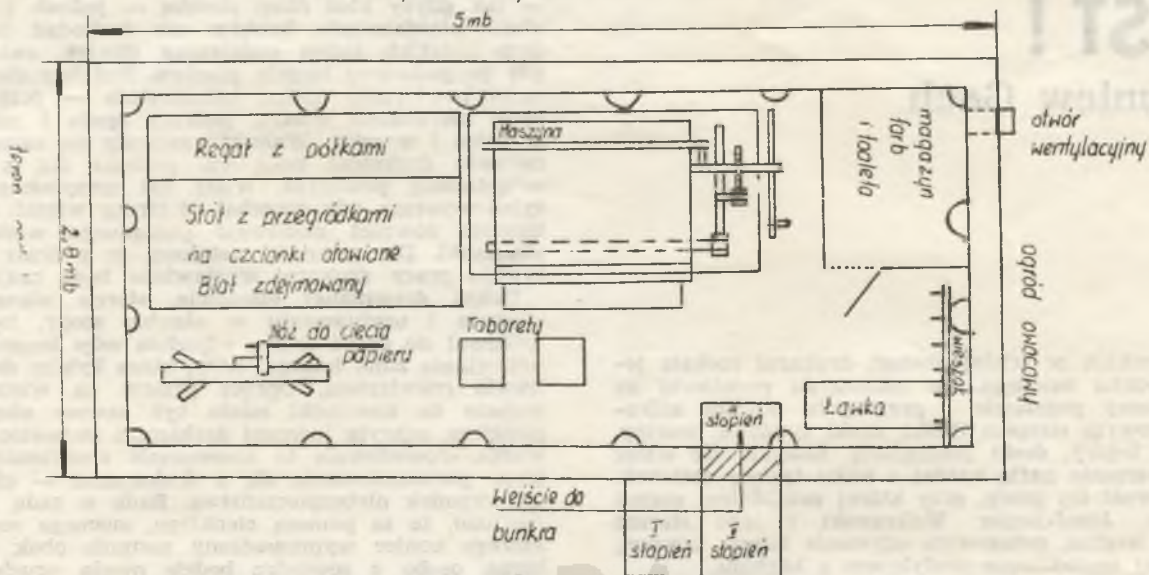
— Większy on może nad niejednego biskupa, choć niby tylko proboszcz z Wiela. Prezesuje teraz Radzie Naczelnej „Gryfa Pomorskiego”.

— Ooo, to Mniamy muszą go dobrze szukać!

— Worek złota by dali za wiadomość, gdzie się ukrywa. To on przecież podczas zaślubin z morzem powiedział w Pucku, w lutym 1920 roku, jako kapelan hallerczyków: „Polsko! Ojczyzno moja nad życie ukochana! Widzieliśmy, jak w ostatnich dniach dzierzawy twoje cudownie się powiększały. Dziś, Polsko, wreszcie zawiła ten wielki i święty dzień, w którym nabywasz znaczenia wielkoświatowego. O, Boże Wszechmocny! Wielkie i przedziwne są dzieła Twoje. Tobie zawdzięczamy, że Polska powstała wolna i niepodległa. Tobie, że rośnię w państwo wielkie i potężne, że ład i porządek wewnętrzny się wzmacnia”.

— Był pan tam wtedy, w Pucku?

15
TEST!



Usytuowanie i plan bunkra-drukarni
Rys. Józef-junior Weltrowski

— Nie, uczyłem się w szkole — odparł „Japan”, skromnie spuszczać wzrok.

We wrześniu 1941 wszystko było dopięte. Przybyło między innymi trochę farby drukarskiej. „Japan” wciąż jednak nie był zdecydowany na ostateczną formułę gazetki. Miała ona podtrzymać Polaków na duchu, lecz jednocześnie zagrzewać do walki z okupantem. Miała także, w oparciu o nasłuch radiowy, ukazywać sytuację na frontach II wojny. Dzięki uprzejmości Józefa Szmaglińskiego — brata Genowefy Weltrowskiej, zamieszkałego w Starogardzie, a pracującego w Gdańsku — udało się pozyskać nowy radioodbiornik, który zamelinowano u Mariana Szostaka w Czarnej Wodzie. Zapewniony został w ten sposób serwis informacyjny z Londynu.

Na początku października Anna przywiozła złą wiadomość — jeden z oficerów hitlerowskich, niejaki SS-Obersturmführer Czuszka, załatwił sobie przydział na orłowski dom Kossak-Głowczewskich i kazał gospodarzom w ciągu dwóch dni wynieść się do Małego Kacka. Kolej rzeczą była taka, że najpierw wezwano rodziców „Japana”, aby przyjęli III grupę. Kiedy odmówili, powiedziano im, że wychowali syna bandytę, w związku z czym będą przesiedleni. Otrzymali do dyspozycji cementowy składzik po rzeźnictwie oraz kawałek zatęchłego garażu przy dzisiejszym Placu Górnośląskim, gdzie oboje starsi państwo

rozchorowali się. Gdy trochę wydobrzezi, roztrzęsiona Jadwiga, która nie mogła przyjść do siebie po jednej z egzekucji na lotnisku w Babim Dole, wyjechała na jakiś czas do Czapiewskich w Wielu, polecając rodziców uwadze sąsiadów, pamiętając wciąż dobroć pana Bolesława jako opiekuna społecznego. Druga córka państwa Kossak-Głowczewskich, Agnieszka, pozostała w swej skromnej kwaterze nauczycielskiej. Dominik nadal ukrywał się u dalszych krewnych i znajomych na południu Kaszub.

Usłyszawszy wiadomość o wysiedleniu rodziny, „Japan” postanowił zgładzić SS-mana Czuszkę. Nie zważając na niczyje porady, pełen goryczy i zawziętości natychmiast wyjechał do Gdyni, ściskając w kieszeni kolbę automatycznego mauzera. Dla pozorów zawiesił także na szyi aparat fotograficzny, który przydał się bardzo, bo stępił uwagę jakiegoś tajniaka w pobliżu orłowskiej poczty, naprzeciw domu Kossak-Głowczewskich. „Japan” nie zlekceważył tej sytuacji. Natychmiast skreślił w pierwszą boczną uliczkę i zaordynował sobie odwrót. „Może to i lepiej” — mruknął. „Gdybym nawet zastrzelił hitlerowską gadzinę, mogli by mi wymordować w odwrocie wszystkich bliskich. Brrr, że też nie pomyślałem o tym wcześniej”. Noc spędził u Rohde’ów na Pustkach Cisowskich, gdzie posiedział parę dni.

Swobodne poruszanie się „Japana” po terenie Reichsgau Danzig-Westpreussen wynikało z faktu posiadania dobrze podrobionej kenkarty. Zorganizował ją prawdopodobnie Jan Klamann w porozumieniu z Janem Szalewskim, który u progu 1941 roku opracował system preparowania lewych dokumentów. Na rok przed wybuchem wojny Szalewski otrzymał posadę sekretarza Zarządu Gminnego w Kościerzynie, gdzie poznał między innymi biuralistkę Agnieszkę Schuttenberg (po wojnie — Nagórką). Mieszkała ona wraz z rodzicami — Leonem i Martą z Majkowskich — na ulicy Źródlanej, a po wybuchu wojny zatrudniona została w landraturze przy wydawaniu kartek żywnościowych i odzieżowych. Równocześnie jej siostra, Helena, zaczęła pracować w kościarskiej Krankenkasse (Kasie Chorych), mając dostęp do lekarstw i bandaży. Brat Agnieszki i Heleny — przedwojenny fryzjer w Brusach Leon-junior Schuttenberg — został partyzantem (zginął w marcu 1944 pod Męciką, razem z ks. Przytarskim), poinformował więc Szalewskiego o miejscach zatrudnienia sióstr. Szalewski nie zmarnował takiej okazji i zaprzysiął dziewczęta, które zaczęły znosić wszystko, co mogło się przydać ludziom z lasu.

Agnieszce udało się nadto pozyskać dla sprawy wieloletnią sąsiadkę i koleżankę Gertrudę Thrun, córkę przewodwojnennego urzędnika pocztowego.



Podrobiona kenkarta „Japana” (tu występującego jako Józef Głowczewski).

Fot. Z. Trybek

Thrun była folksdojczką, lecz w przeciwieństwie do swej siostry-hitlerówki mocno sprzyjała Polakom. Jako zaufana pracownica landratury dała się namówić Schuttenberżance na wynoszenie czystych blankietów dowodów tożsamości. Niebieskie były dla folksdojczów, zielone dla eingedojczów, białe dla Polaków bez grupy. Szalewski naciskał jeszcze na zdobycie blankietów przepustek, ale przechowywano je w specjalnym pomieszczeniu i Thrun bała się wpadki. Zadania podjęła się zatem Helena Schuttenberg, która na podstawie wskazówek Gertrudy odnalazła w obcym urzędzie właściwe biurko i wykradła kilkanaście czystych przepustek. Później taka sztuczka nie była już możliwa, bo Niemcy wszystko pozamykali na klucz.

Dysponując oryginalnymi blankietami, Szalewski udał się z dwójką swych partyzantów, Karnowskim i Orlikowskim, do Bydgoszczy, gdzie Orlikowski miał znajomą w fabryce stempli (przedwojenna firma „Zawadzki”). Szalewski zaprzysiął tę kobietę, ponoć bardzo urodziwą, zlecając wyprodukowanie kilkunastu pieczętek, których wzory dostarczył. Były tam między innymi stemple landratur w Kościerzynie i Chojnicach, pieczętka na przepustki i tak dalej. Zamówienie zostało zrealizowane szybko i rzetelnie.



Przedwojenny dowód osobisty Anny (tu podpisanej jako Szomburg). Na okładce jest on przestemplowany okrągłą pieczęcią hitlerowską: „Der Polizei Präsident Gotenhafen”.

Fot. Z. Trybek

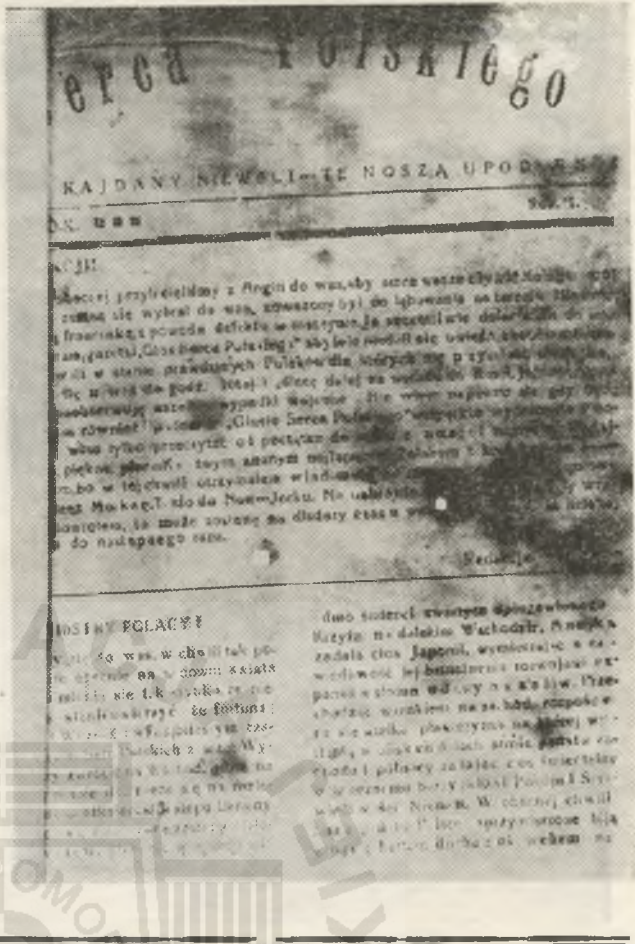
Gotowe stemple powędrowały do Wiela, gdzie ukryto je u jednego z gospodarzy na strychu, za krokwią. Do wypisywania podstawowych danych w dokumentach wyznaczono Kazimierza Leszczyńskiego z Kosobud, który biegle pisał na zdobycznej maszynie, a przy tym artystycznie podrabiał podpisy niemieckich urzędników. Wystawianiem lewych dokumentów zajmował się też okresowo Remblewski z Czerska, pracownik Kasy Oszczędności.

Kiedy „Japan” powracał z Gdyni w Bory Tucholskie, przeszedł trzykrotną kontrolę, lecz za każdym razem szczęśliwie. Wyraźne pieczęcie, wąsata fotografia i popularne na Pomorzu nazwisko Głowczewski budziły widać zaufanie. Po przyjeździe do Jastrzębia wąsał naładował wszystkich nową porcją entuzjazmu i już następnego dnia zaczął pisać swój pierwszy w życiu wstępniak: „W chwili obecnej przylecieliśmy z Anglii do was, aby serca wasze ożywić”. Górnolotna stylistyka i folgowanie fantazji miały odtąd charakteryzować większość jego artykułów. Pierwszy numer „Głosu Serca Polskiego”

Jeszcze można zaprenumerować
„Pomeranie”!

Strona tytułowa pierwszego numeru „Głosu Serca Polskiego” (z archiwum WUSW w Bydgoszczy).

Fot. K. Ciechanowski.



zmuszony był zapełnić sam, stąd sformułowania pełne patosu, emfazy, nieumiarkowanych wykrzykników.

Trudno dokładnie ustalić, kiedy wydrukowany został egzemplarz próbny — prawdopodobnie pod koniec grudnia 1941 roku. Świadczą o tym doniesienia tak zwanego działu politycznego, obejmujące okres od 7 do 12 grudnia. „Japan” świadomie pominął tu atak Japończyków na Pearl Harbor, wyolbrzymił zaś rzekome sukcesy floty USA. Jednocześnie zapewnił czytelników, że wojska radzieckie szykują się do generalnego przełamania frontu i już niebawem zgotują hitlerowcom tęgie lanie.

Zaszczyt odbicia kompletnej, 4-stronicowej szcztotki przypadł w udziale Annie, która ciesząc się jak dziecko, wyciągnęła mokry papier spod docisku, pisząc:

— Patrzcie! Jest! Jest!

Zebrani członkowie rodziny Weltrowskich w milczeniu, z wilgotnymi oczami spoglądali na równie, duże litery tytułu i krzyczące pod nim motto: ZRZUCCIE KAJDANY NIEWOLI — TE NOSZĄ UPODLENIE! Każde z trzech „O” w tym zapisie należało do innego kroju pisma, lecz nikt nie zwrócił na to uwagi.

Wielka i radosna uczta zaistniała w owym dniu u Weltrowskich. Smiechem, żartem i przechwałkom nie było końca do świtu.

Po tygodniu jeden z kolporterów przywiózł spod Tucholi drugi numer „Głosu...” — jakby mniejszy, jednokartkowy, choć o układzie podobnym do pierwszego. W Jastrzębiu drugi numer jeszcze się nie ukazał, więc sprawa była jasna. Falszywka. Gestapo już próbowało zarzucić swoją sieć. (Cdn.)

Paweł Huelle Kaszuby

Graf saniami przejechał i już go nie było,
W pałacu gaszą światła, leśniczy na polanie
Szuka miedzianej skuwki, w blasku sierpnia
Okryci szarym kurzem chłopiec i dziewczyna
Schodzą w dół do jeziora i rozchylają paprocie,
Rybacy smołują czołna, na ścierniskach ptaki
Leniwie czochrają pióra i do pustej nocy
Przygotowuje się wioska, szczególnie biedacy
Liczą na poczęstunek zmarłej pani Konkeli,
Miejscowe diabły szydą co wieczór z proboszcza,
Chłopi jak zawsze omijają zbyt duże kamienie,
Nadchodzi pora wyrębów, stuka o sosnę siekiera,
Na bezludnym ostrowie ktoś zauważył ognisko
I tylko gdzieś tam zimą przemykają wilki
Po których nie ma śladu w śniegu i w powietrzu.

* * *

Nad tobą smutna ziemię pochylali się twoi poeci
I w twardym języku którego nie mogłem zrozumieć
Z czułością przemawiali do każdego źdźbła trawy
Wspominając strumienie drzewa i jeziora
I nazwy kwiatów zapamiętane z dzieciństwa.

Jak Litwa byłaś ojczyzną niepogód a twoi książęta
Nosili miecze i pięknie brzmiące imiona,
Po których nie pozostały zamki ani ogromne bogactwa
Tylko cisza pagórków i podobizna w klasztorze.

Kto ciebie porzucił twoją surową urodę
Niósł ze sobą do miasta i nawet za oceanem
Gdzie jeziora ogromne i domy dużo bogatsze
Brzmiała stara piosenka o żeglarzu i świecy.

Japan (9)

PUPULEK

Zbigniew Gach

Około lutego 1942 roku „Japan” Kossak-Głowczewski powołał do życia korespondencyjną redakcję „Głosu Serca Polskiego”. Jak wynika z późniejszych ustaleń, artykuły do wydawanego nad Czarną Wodą pisma przesyłali: Albin Makowski z Chojnic, Leonard Brzeziński z Wiela, Stanisław Duraj z Gdyni i prawdopodobnie Jan Klamam. Wątpliwe, by jakikolwiek tekst dostarczył Marian Szostak, który mimo młodego wieku (rocznik 1923), mocno był zaangażowany w rozmaite sprawy organizacyjne, a przy tym pracował na co dzień jako biuralista. Zresztą w połowie 1942 roku, na skutek podpisania III grupy przez matkę, Szostak został powołany do Wehrmachtu i słuch o nim zaginął (potem okazało się, że uciekł do aliantów i przeżył wojnę, osiedlając się w Argentynie lub Kanadzie).

Redaktorem naczelnym i głównym autorem został oczywiście „Japan”, któremu ta dubeltowa funkcja musiała trochę ciążyć, zważywszy, iż okresowo przemieniał się również w zaopatrzeniowca (papier, farby), zecera i jednego z kolporterów. Materiały do swoich komentarzy politycznych czerpał z audycji BBC; materiały do ulotek, wypuszczanych przez drukarnię w przerwach między kolejnymi numerami pisma, pochodziły z głębi serca polskiego. Nakład poszczególnych numerów wahał się od 250 do 400 egzemplarzy, przy czym zwykle pierwsza partia wynosiła 100–150 sztuk, a później z tego samego składu robiono dodruki. Dzisiaj, z powodu trudności w dostępie do niektórych archiwaliów, trudno stwierdzić, ile wyszło numerów „Głosu Serca Polskiego”, ale są podstawy, by przypuszczać, że co najmniej szesnaście. Do licznej grupy kolporterów pisma należeli: Anna Schomburg (po wojnie Kossak-Głowczewska), Dawid Weltrowski, Jan Dominik, Bernard Babiński, Julian Szmagliński Czesław Piesik, Jan Rostankowski, Franciszek Rezmer, Zygmunt Landowski, Rozalia Narloch, Jadwiga Gawrych, Józef Zmudziński, Jan Klamam. Gazetki rozwoziło się najczęściej po zaufanych znajomych, a także rozkładało w pociągach, między innymi w pośpiesznym Królewiec-Berlin. Materiały informacyjne, meldunki itp. krążyły innym obiegiem — w podwójnych dnach baniek z mlekiem (Weltrowscy mieli 6 krów).

Od początku do końca istnienia drukarni miejsce jej usytuowania znali tylko wtajemniczeni. W samym Jastrzębiu, poza Weltrowskimi, Szmaglińskim oraz Ignacym Ebertowskim, dopuszczona do tajemnicy została jedynie najbliższa przyjaciółka Genowefy Weltrowskiej, Marta Szturmowska, której zadaniem było zdawać relacje, „co też ludzie gadają”. Szturmowska mieszkała na drugim krańcu wioski, mogła zatem przybiec z wiadomością o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Była to rozważna i dzielna kobieta. Kilkakrotnie dzięki jej ostrzeżeniom udało się uniknąć zaskoczenia przez policję.

Posiadając mocne papiery, jak również uprawnienia stroiciela fortepianów, „Japan” często udawał się w teren, zwykle z plikiem bibuły pod siodełkiem rowerowym. Zdarzało się, że przez tydzień krążył między Czerskiem i Dziemianami, nocując raz pod pierzyną w chałupie, innym razem pod kocem w ziemiance. Znał liczne bunkry oddziału Klamama, choćby w pobliżu Popówki, Listewki, Radunia, a także nad jeziorami Brzeźno, Motowęża, Musin i Stone. Pewnego dnia usłyszał zabawną historię o niemieckim balonie meteorologicznym, który zerwał się z uwięzi w Karsinie czy Wielu i opadł tuż obok

partyzanckiego schronu. Klamam kazał natychmiast odnieść znalezione Niemcom. Podjął się tego przebywający akurat w lesie Bronisław Brzeziński z Wiela, przyjmując wersję, że balon spadł na jego pole. Kiedy szedł ze sflaczałą powłoką na posterunek żandarmerii, chłopcy wygrażali mu pięściami, mrużąc: tobie to nie kijem, ale kłonicą między uszy by się należało.

Na początku czerwca u Weltrowskich zjawiała się siostra Józefa-seniora, Angielka, która przed I wojną wyjechała na zarobek w głąb Rzeszy i tam wyszła za asystenta pocztowego Lincka. W okresie międzywojennym kilkakrotnie odwiedzała Jastrzębie, ale Weltrowscy przestali przyjmować ją zyczliwie, gdy nazwała Hitlera drugim Chrystusem. Józef-senior tak się zeźlił tym porównaniem, że przeklął siostrę na wieki. Mimo to, przyjechała teraz jako *bombengeschiedigt* (poszkodowana przez bomby) — wskutek brytyjskich nalotów dywanowych i zażądała gościny. Józef-senior odpowiedział, że po jego trupie, wobec czego Angelika znalazła sobie inną kwatery i odtąd tylko jeść przychodziła do Weltrowskich.

Niebawem pojawiła się następną zbombardowana krewna, Gertruda Bisiecke, ciętca siostra Józefa-seniora, wdowa po bogatym berlińskim Żydzie, którego hitlerowcy zgładzili w maju 1942 roku. Ze zrozumiałych względów nienawidziła Hitlera. Weltrowscy potraktowali ją serdecznie (nazywając „Püppchen”, czyli lalczką) i zaferowali kwatery. W kilka tygodni później Bisiecke ściągnęła z Berlina swoją przyjaciółkę Else Schneider, miłą, choć pretensjonalną paniusią z kędzieżawym pieskiem — „takim zasańcem, co to ani nie szczekał, ani nie warczał, tylko kręcił się koło nóg i dla parady szedł na smyczy”. O ile Linck i „Püppchen” umiały po polsku, o tyle Schneider ani słowa. Józef-junior próbował uczyć ją pojedynczych wyrazów, ale zrezygnował, gdy po całym dniu wkuwania nazwała popielniczkę — popierdniczką.

„Japanowi” nie bardzo podobał się fakt, że w obejściu kręca się trzy, później nawet cztery Niemki (dojechała jeszcze niejaką Redder z paroletnim synem). W dodatku część podwórza zajęta została na plac składowy przez firmę „Dockendorf”, dostarczającą budulca dla autostrady królewieckiej. Miało to wszak i dobrą stronę, ponieważ stawało gospodarstwo Weltrowskich niemal poza podejrzeniami. Else Schneider szybko zaprzyjaźniła się z Malkem, Ortsvorsteherem w Zimnych Zdrojach, z którym jeździła co niedzielę do ewangelickiego zboru w Hucie — rodzinnej wsi „Japana” — nieraz wychwalając Weltrowskich za ich gospodarność i chrześcijańską postawę wobec ludzi. Kiedy rankiem 22 czerwca, w związku z wykojeniem hitlerowskiego transportu wojskowego koło Czarnej Wody (partyzanci Jana Szalewskiego), cała okolica została otoczona przez konną żandarmerię, gwałtownie obudzona Gertruda Bisiecke skrzyczała buszujący po chałupie Weltrowskich niemiecki patrol.

Zdarzało się, że z powodu umówionego przybycia kolporterów na punkty kontaktowe, trzeba było wydrukować nową partię gazetki czy ulotki mimo tego, iż w obejściu stołowali się albo przebywali z interesem obcy ludzie. Stosowano wówczas — poza wysyłaniem czujek (młodsze dzieci Weltrowskich) — dodatkową ochronę akustyczną: na ławeczce siadał Winc Szmagliński, bodaj najlepszy harmonista w powiecie, i wyjąwszy z futerału sześciokątną koncertynę zaczynał przebierać po guzikach. A grać umiał tak, że „ptaki przestawały ziarno dziobać”. Jeśli we wsi pojawiali się Niemcy z psami, wejście do bunkra obsypywano wokół tabaką.

Pod koniec lipca 1942 roku przywędrował do Jastrzębia korpulentny, lysiejący blondyn w zniszczonym habicie franciszkańskim. Miał zmasakrowaną twarz, powybijane zęby i rany od bicia na całym ciele. Liczył sobie około 30 lat. Na szyi nosił krzyż, który chętnie dawał ludziom do całowania. Pod pachą trzymał wystrzępiony brewiarz. Idąc od chałupy do chałupy, dobrnął, wreszcie na podwórzu Weltrowskich — z prośbą o jałmużnę i pokarm. Sepłeniąc i zacinając się, opowiedział, że jest zakonnikiem z Chełmna, że przebywał na gestapo, gdzie został skatowany i skazany na rozstrzelanie, którego cu-

downie uniknął za sprawą Najświętszej Pani. Po prostu — draśnięty kulą przeleżał pod warstwą ciała i ziemi w zbiorowej mogile, by o zmierzchu wy dostać się na zaoraną już powierzchnię. Weltrowscy nakarmili przybysza, lecz nie bardzo chcieli dać nocleg, tłumacząc się brakiem miejsca. W rzeczywistości spełniali tylko zalecenie „Japana”, aby żadnego nieznanego nie dopuszczać do komitywy.

Po kilku tygodniach zakonnik, którego Weltrowscy nazwali „Pupulkim”, przywędrował znowu. Miał już porządne cywilne ubranie; ręce i twarz były podgojone. Nadal jednak niewyraźnie mówił, jakby mu język przywarł do zuchwy. „Japan” i tym razem nakazał ostrożność, bo w ruchach, sposobie bycia i niezadarnym słownictwie gościa (rzekomo posiadającego święcenia kapłańskie) zbyt wiele czuł prostactwa. Poza tym przybysz ciągle zadawał Weltrowskim różne pytania, między innymi o wujka z Berlina, do którego dzieci mówią „Japan”, a także o kontakt z księdzem Wrycza.

Informowany o przejawach dziwnej ciekawości „Pupulka”, „Japan” postanowił, któregoś popołudnia zrobić mu przesłuchanie. Zakonnik wymówił się bólem zębów i okaleczonym językiem przeszkadzającym mówić. — W takim razie — mruknął „Japan” — poprzestańmy tylko na *Asperges me, Domine, hysoppo* (*Pokropisz mnie, Panie, hizopem* — modlitwa kapłana podczas święcenia wiernych przed sumą). — Zakonnik zaprzeczył ruchem głowy i oświadczył, że czuje się dotknięty, niemniej gdy w pełni wzdrowieje, odprawi mszę po łacinie. Następnego dnia zniknął. Wrócił dopiero po miesiącu i natychmiast chciał rozmawiać z berlińczykiem. Kiedy uzyskał odpowiedź że „Japan” wyjechał, codziennie przychodził pytać, czy już wrócił. Wreszcie oznajmił że sam go znajdzie.

Minał wrzesień, „Pupulek” nie dawał znaku życia, ale „Japan” wciąż miał się na baczności. Nocował poza gospodarstwem Weltrowskich, pojawiając się i odchodząc bez uprzedzenia. Rzadziej także przesiadywał na powierzchni, częściej w drukarni. Któregoś razu, gdy składał szpalę z najnowszymi wiadomościami, został wywołany kołatką przez Józefa-seniora i zaprowadzony do sadu. Stała tam Regina, najstarsza córka Weltrowskich, trzęsąc się od płaczu. Po chwili opowiedziała „Japanowi”, że w lesie, gdzie miała zamiar zbierać grzyby, wyszedł na nią „Pupulek” i przez dwie godziny straszyl brzochnięciem, pytając, kim naprawdę jest „Japan”, jakie Weltrowscy mają powiązania z partyzantami, gdzie ukrywa się ksiądz Wrycza — tak w kółko.

— Coś mu powiedziała? — spytał Kossak-Główczewski.

— Że o niczym nie wiem. Mnie ani trochę wtedy strach nie przeszył, nie uroniłam ani jednej łzy. Mówiłam sobie w duchu: Boże, ty wszystko widzisz, więc sam osądź; jeśli trzeba, to zginę. I nie załamalam się, boć nie ode mnie pochodziła ta siła.

— Gdzie on teraz jest?

— Poszedł do wsi. Zagroził, że jeśli pisnę słowo, to umrę.

Ludwig zżuł w ustach przekleństwo. Po obiedzie wyjął ze schowka w drukarni swojego mausera i wsiadł na rower, by zanurzyć się w borze. Następnego dnia rano gospodarstwo zostało otoczone przez policję i drobniogowo przeszukane. Nie znaleziono niczego podejrzanego.

Kierując się wskazówkami Reginy, która twierdziła, że „Pupulek” odkrył krewnych Weltrowskich w Miedznie koło Karsina, „Japan” ruszył za agentem. Kilka tygodni trwała zabawa w kotka i myszkę, aż wreszcie pod Mokrem, gdzie stanęli twarzą w twarz, mauser okazał się celniejszy od brzochnięga.

Okrężną drogą, klucząc i zasięgając języka w bunkrach na terenie leśnictwa Grzybno, Bartel, Kamienna Karczma, wrócił „Japan” do Jastrzębia. Czekająca tu wiadomość od siostry, Jadwigi Kossak-Główczewskiej, że rodziców znowu nachodzili gestapowcy z zapytaniem: gdzie jest ten pies (pokazali przedwojenne zdjęcie Ludwika w lekkim kożuszku)? Wyglądało na to, że złapali jakiś trop, ale nie wiedzą, w którym kierunku zacisnąć pętlę.

Drukarnia co chwilę miała przestoje z braku papieru, zatem „Japan” często wyjeżdżał stroić forte-

19
piany. Przy okazji orientował się w nastrojach zarówno społeczności polskiej, jak i Niemców, co przydawało się podczas pisania artykułów. Na początku marca 1943 roku zelektryzowała go uzyskana od łącznika pod Czerskiem informacja, że do Jastrzębia przedarli się dwaj jeńcy angielscy, którzy koniecznie chcą dojść do partyzantów. Podejrzanie wzbudzał fakt, że bardzo dobrze mówią po polsku i po niemiecku. Aby sprawdzić, co za jedni, „Japan”, Kłaman i Grzonka przez trzy dni pili z nimi bimber, aż wreszcie, zamroczonych, gruntownie zrewidowali. Znaleziono papiery niemieckie mówią same za siebie. Prowokatorów rozstrzelano na terenie leśnictwa Szary Kierz.

Ostatnie ostrzeżenie nadeszło w maju 1943 roku, kiedy do Weltrowskich przyjechał 30-letni Alfons Szwonka („Edward”), stolarz z Czerska ukrywający się ze swoją grupą „bunkrarzy” w Rytle, niedaleko gospodarstwa Kobierowskich. Szwonka wiedział o drukarni, do której niekiedy przywoził ciekawostki. Tym razem przybył z wiadomością, że Niemcy wyduśli z jakiegoś kolportera, iż „Głos Serca Polskiego” drukowany jest w pobliżu Łęga.

„Japan” prawdopodobnie nie lubił Szwonki, a może mu nie ufał, w każdym razie unikał z nim bezpośrednich spotkań. Mimo to nie zlekceważył przestrogi i po naradzie z Kłamanem postanowił zlikwidować drukarnię. Sprawę przyspieszyła seria rewizji w Zimnych Zdrojach, odległych jedynie o kilometr od Jastrzębia. Pod koniec maja, w ciemną, bezksiężycową noc, furmanka Weltrowskich kilkakrotnie obróciła między bunkrem a wcześniej przygotowanym dołem w głębi lasu. Drukarnia przestała istnieć. (cdn.)



20

Kociewski Magazyn Regionalny 1989
ZEMT 6 575

recenzje

PO LEKTURZE „JAPANA”

Pominięcie w przeglądzie czasopism 1986 roku, przy omawianiu tematyki kociewskiej, znaczącego cyklu reportaży Zbigniewa Gacha pt. JAPAN, drukowanego w „Pomeranii” nie wyrządziło, sądzą, naszym Czytelnikom większej szkody, zważywszy że w zamian poświęcamy jemu więcej miejsca na „Regale regionalnym”. Materiał ten z wielu powodów zasługuje na więcej uwagi, niż zwykle się to czynić za pośrednictwem lapidarnego odnotowania.

Obszerny reportaż, drukowany niemal przez rok (nr 11, 1985 — nr 9, 1986) składa się z dziesięciu części-rozdziałów (1985: nr 11, cz. 1 Jeden z Wielu, nr 12, cz. 2 Anna; 1986: nr 1, cz. 3 Na Pustkach, nr 2, cz. 4 Bunkrarze, nr 3, cz. 5 Kostucha, nr 4, cz. 6 Weltrowscy, nr 5, cz. 7 Akcja „D”, nr 6, cz. 8 Jest!, nr 8, z. 9 Pupulek, nr 9, cz. 10 Epilog). Jego bohaterem jest organista Ludwik Korsak-Głowczewski, ps. „Józef”, „Japan” (1905—1969), członek Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski” (początkowo „Gryf Kaszubski”), którego życiorys, szczególnie ten konspiracyjny podczas hitlerowskiej okupacji, związany był częściowo z Kociewiem. Syn nauczyciela, urodzony na Kaszubach w Hucie (pow. Chojnice), kilka lat uczył się. Autor wiele się napracował, bowiem

czuł do pelplińskiego „Collegium Marianum”, którego to gimnazjum nie ukończył z powodu utraty oka w nie-szczęśliwym wypadku. Potem, wszak krótko, w Starogardzie poznawał tajniki kupieckie w branży bławatnej, jednak subiektem nie został. W dziewiętnastym roku życia wstąpił do Salezjańskiej Szkoły Organistów w Przemysłu, gdzie od zakonników odebrał solidne wykształcenie muzyczne.

Tematem reportażu jest działalność konspiracyjnej drukarni „Gryfa Pomorskiego”, pracującej w bunkrze-ziemiance na terenie obejścia gospodarskiego Weltrowskich w Jastrzębiu. Organizatorem i szefem tej tajnej oficyny był właśnie „Japan” Głowczewski. W tej kociewskiej wsi nad Wdą, z urzędzeń drukarskich solidnej jeszcze pedałowej „Bostonki”, pozyskanej z warsztatu poligraficznego dr Antoniego Zemke w Czersku, gdzie przed wojną drukowano na niej „Głos Ludu”, zeszło w latach 1942—1943 szesnaście numerów konspiracyjnego „Głosu Serca Polskiego”.

Sprawnie sfabularyzowany tekst ukazuje starania organizacyjne „Japana” o drukarnię, wręcz sensacyjne zabiegi o jej uruchomienie. Jest przy tym mnóstwo faktów, szczegółów, sylwetek ludzi pomorskiego podziemia, jego sympatyków — także z Kociewia — ujawnionych po raz pierwszy. Opowieść o drukarni i jej twórcy czyta się jednym tchem, jak rzadko który reportaż. Powinna być z tego dobra książka; tekst samodzielnie wydany zyska zapewne wielu czytelników.

Reportaż w poważnym zakresie wzbogaca wiedzę o patriotycznej działalności mieszkańców Pomorza w latach okupacji. „Japan” nie zostawił po sobie dużo śladów. Niektóre zdarzenia zatarły już czas

lub zмова milczenia minionego okresu, część prawdy zabrali ze sobą nieżyjący świadkowie okupacyjnych zmagania z wrogiem. Odtworzenie losów ludzi i drukarni było zadaniem trudnym, ale przypuszczam, że pasjonującym, bo takim jest każde odkrywanie prawdy.

Po tej świetnej lekturze ponownie odzywa się żal, nawet pretensja do najbliższej przeszłości. Znowu nasuwają się bolesne pytania. Dlaczego o tym wszystkim czytelnik dowiaduje się dopiero teraz? Jak się to stało, że autentyczni żołnierze, owi legendarni „leśni chłopcy” z Borów Tucholskich tak długo czekali na ujawnienie prawdy, a wielu się już jej nie doczekało? Dlaczego jeszcze nie tak dawno ustawicznie odsuwano ich na koniec kolejki zasłużonych, a do innych kolejek tych, którzy się o nich upominali?

Choć reportaż Zbigniewa Gacha w „Pomeranii” nie dały bezpośredniej odpowiedzi na te pytania, bo nie takie było ich zadanie, to przynajmniej uzupełniły obraz konspiracyjnej działalności mieszkańców Pomorza przeciw hitlerowskiemu okupantowi. Autor „Japana” ułatwił historykom polskiego ruchu oporu postawienie kroku do przodu, a jednocześnie ocalił od zapomnienia jeszcze jeden epizod cichego bohaterstwa.

Dlatego trzeba to koniecznie przeczytać. Nasz apel jest mocno spóźniony (a to już za sprawą owej „nieokreślonej częstotliwości” naszego pisma), ale kto się nie zetknął dotąd z „Pomeranią”, niech spróbuje w saloniku handlowym ZK-P przy ul. Szewskiej w Gdańsku, może zdobędzie zaległe numery. W przeciwnym razie warto nawet sięgnąć w bibliotecznej czytelni. Naprawdę warto.

Michał Romanowski

20

Kossak Głowczewski Ludwik (1905-1969)
 pseudonim „Józef”, „Hubert” ostatnio „Japan”,
 miał przybrane nazwiska okupacyjne Jan Kowalski,
 Józef Głowczewski i Ludwik Kossak. Był
 nauczycielem, organistą i wielkim patriotom Polakiem.
 Znał bardzo dobrze języki Niemiecki, Łacinę,
 Angielski. Znał i pisał stenografią, używał języka
 rosyjskiego, francuskiego i esperanto. Jak się okazało
 później mógł się swobodnie poruszać i na te
 ciężkie czasy okupacji przygotowany jakby człowiek
 opatrności. Dlatego jako członek TOW „Gryf Pomorski”
 i następnie Armii Krajowej, mógł redagować w Jastrzębiu
 konspiracyjną gazetę pt. Głos Serca Polskiego”.

Urodził się 15 sierpnia 1905 roku w Hucie k/Wiela, był synem nauczyciela Bolesława i matki Anastazji z domu Wnuk-Lipińskich z Wiela, bliskim przyjacielem ks. płk Józefa Wryczy ps. „Rawycz”. Do szkoły powszechnej uczęszczał w Hucie, po skończeniu wstąpił do progimnazjum biskupiego w Pelplinie, słynnego na Pomorzu „Colegium Marianum”. Szkoły tej nie skończył na skutek upadku tracąc lewe oko. W 1920 roku państwo Kossak Głowczewscy powrócili do Wiela z sześciu osobową rodziną.

Niewątpliwie zetknął się z talentem muzycznym znanego Kaszubskiego patrioty Wicka Rogali i grał w młodzieżowym zespole muzycznym Antoniego Skwierawskiego. Jesienią 1924 roku Ludwik podejmuje naukę w Salezjańskiej Szkole Organistów w Przemyślu i kończy w 1928 roku. Potem cała rodzina przeniosła się bliżej morza i jakiś okres mieszkała w Rumii-Zagórze. W tym czasie ojciec Ludwika wykupił parcele budowlaną w Gdyni Orłowie i zaczął budować nowy dom trzy piętrowy przy ul. Przebendowskich. Jesienią 1928 roku Ludwik podjął pracę w Prywatnym Koedukacyjnym Gimnazjum doktora Teofila Zegarskiego w Gdyni-Orłowie. Mając własne środki utrzymania, rozpoczyna naukę w prywatnym Konserwatorium w Sopocie i uzyskuje dyplom nauczyciela muzyki organowej w 1933 roku. Prawdopodobnie przebywał u krewnych w Berlinie dłuższy czas i tam doksztalał się w zakresie teorii muzyki. Natomiast jest wiadomo, że objął pierwszą posadę stałego organisty w wiosce kościelnej Klonówka, powiat Starogard Gdański w lutym 1934 roku. Następną pracą organisty była w Starzynie, powiat Puck od 1936 roku do wybuchu II Wojny Światowej w 1939 roku.

W tym czasie zapoznał się z panną Anną Schomburg Krawcową z Starzyna, która została jego żoną dopiero po wyzwoleniu 2 kwietnia 1945 roku. Ponieważ miał jedno oko sztuczne to nie został zmobilizowany do Wojska Polskiego w 1939 roku.

Od pierwszych dni okupacji był cały czas poszukiwany przez Niemców. Pierwsze dni okupacji Ludwik ruszył razem z wycofującym się WP na teren Gdynia –Obłuże i przez dwa tygodnie opatrywał rannych, oraz pełnił służbę pomocniczą w szpitalu polowym, aż do 14 września jak Niemcy wkroczyli do Gdyni. Ludwik dowiaduje się od kolegów, że Gestapo robiło rewizję u jego rodziców w Orłowie i szuka syna Kossaka Głowczewskiego. Widząc tą sytuację, że niema możliwości pozostania na wybrzeżu postanawia 13 listopada 1939 roku ruszyć rowerem do Górek k/Wiela mając podrobione zaświadczenie, że udaje się do Chojnic w charakterze nauczyciela śpiewu. W Górkach spotkał się z najbliższą rodziną i znajomymi, którzy urządzili serdeczne przyjęcie u gospodarza Trawieckiego Gracjana. Przyszli odwiedzić dawni koledzy, którzy wspólnie muzykowali w Wielu.

Wówczas nawiązał się ścisły kontakt z Bunkrarzami Józefem Skibą, Anną Czapiewską, Antonim Skwierawskim, Franciszkiem Bielawskim, Władysławem i Bernardę Jareczek oraz Anastazję Zemke siostra doktora Antoniego Zemke z Czarska. Która знаła

miejsce ukrycia maszyny drukarskiej i morze przekazać ją w godne ręce Ludwika Kossak Głowczewskiego jako dalszemu krewnemu.

W grudniu 1940 roku koło Dziemian został zaprzysiężony przez ks. płk Józefa Wryczę pseudonim „Rawycz” por. Jan Kłaman pseudonim „Ludwik” i Ludwik Kossak Głowczeski pseudonim „Józef”. Jednocześnie por. Kłaman „Ludwik” został mianowany szefem wyszkolenia wojskowego na okolice Karsina, Czerska, Czarnej Wody, Zimnych Zdroji i Jastrzębia, czyli na terenie grupy zorganizowanej przez Mariana Szostaka w Czarnej Wodzie, byłego gimnazjalisty Chojnickiego pseudonim „Student”. Prawdopodobnie na początku 1941 roku Kłaman i Kossak Głowczewski zapoznali 27-letniego por. Jana Szalewskiego, który ukrywał się i formułował partyzancki oddział bojowy w rejonie Borów Tucholskich.

Ażeby uzyskać zgodę mojego ojca i matki ulokowanie maszyny w Jastrzębiu przyszedł do naszego gospodarstwa por. Jan Szalewski ps. „Soból”. Po długich dyskusjach z ojcem uzyskał połowiczną zgodę „jak moja żona się zgodzi, która jest z praniem na ławkach przy rzece Wdzie (Czarna Woda) to i ja się zgodzę”. Por. Szalewski po kilku godzinach rozmowy przekonał moją Matkę jak się na jej brata „Julka” powołał, że razem z maszyną przyjedzie do obsługi były organista z Kolnowki Ludwik Kossak Głowczewski, którego znała z opowiadań brata.

Jak nastąpiła zgoda Rodziców na przyjęcie maszyny, to wówczas się zaczęła ciężka praca przy budowie bunkra –schronu, braku były planu i rozmiarów maszyny, oraz ograniczone miejsce w szopie. Piasek wynosiła cała rodzina w koszach i workach w moczary do rzeki Wdy, tylko w nocy, jak wioska spała.

Gdy bunkier był już gotowy to nastąpiło kilka narad jak wykraść z pod oczu Niemców w Czersku maszynę. Ustalono dzień 6 kwietnia 1941 roku akcji „D” dwie furmanki konne wyruszyły po maszynę pod dowództwem „Japana”, Kossak Głowczewskiego i por. Kłamana „Ludwik” z obstawą ubezpieczającą około dziesięciu osób uzbrojonych- partyzantów. Natomiast druga furmanka, która miała wykraść z centrum Czerska czcionki i oprzyrządowanie drukarni dowodził Józef Weltrowski z synem Dawidem i Józefem ja jechałem w konie na plac składnicy żelaza Niemca Fredricha Roddatza. Transport czcionek i maszyny z Czerska poza małymi kłopotami pomyślnie się zakończył około godz. 22.00. Tylko teraz nastąpiła następna żmudna praca przy jej oczyszczeniu i zestawieniu w bunkrze ażeby można było drukować zamierzone gazety „Głos Serca Polskiego”. Natomiast „Japan” miał kłopoty jak zdobyć papier i farbę drukarską. W tym celu udał się do znajomego Chabowskiego do Marwiela k/Klonówki, ażeby być bliżej Pelplina i nawiązać kontakt z drukarzami „Pielgrzyma” którego Niemcy zabronili wydawać. Z Pelplina wrócił z mocno naładowaną walizką papieru i farbami drukarskimi.

Był już wtedy po wstępnym przeszkoleniu poligraficznym u Kazimierza Ziernego w Chojnicach. „Japan” zbierał materiały do druku a „Mechanik” głowił się jak zmontować maszynę i dorobić brakujące części, ramki zecerskie, wałki gumowe i wiele innych drobiazgów. Wszystkie trudności zostały pokonane, przy pomocy życzliwych i zaangażowanych z całym sercem ludzi.

Trudno dziś ustalić ile osób było zaangażowanych przy powstaniu gazety „Głos Serca Polskiego” i przy jej redagowaniu oraz kolportowaniu. Pamiętam, że najbliższymi osobami „Japana” byli Wincenty Szmagliński „Mechanik”, Marian Szostak „Student”, por. Jan Kłaman „Ludwik”, Julian Szmagliński „Julek”, Józef Grzonka „Duży Józef”, Czesław Piesik, Ignacy Ebertwski i nasza cała rodzina Weltrowskich: Ojciec Józef, Matka Genowefa, i rodzeństwo Dawid, Regina, Józef, Zygfryd, Genowefa i Jan. Gazeta „Głos Serca Polskiego” była redagowana na początku pod zgrupowaniem „Obóz Konspiracyjny” (OK), później „Tajnej Organizacji Wojskowej” TOW „Gryf Pomorski” następnie Armii Krajowej (AK). nakład wahał się od 100 do 500 egzemplarzy formatu A4. Rubryka stałą był serwis

informacyjny z Londynu dzięki Marianowi Szostakowi, który miał zainstalowany radioodbiornik bateryjny w swoim schronie pod stodołą.

Gazeta była wydawana w latach 1941 i 1943 i docierała do inspektoratu Chojnickiego przez kolporterów do Tczewa, Chojnic, Kościerzyny, Bydgoszczy i Gdańska oraz wrzucana była do pociągów pospiesznych Berlin- Królewiec. Później przyszły niedobre sygnały od por. Klamana z Kościerzyny, Chojnic i Starogardu Gdańskiego od „Julka”, że Gestapo jest blisko wykrycia. Po burzliwej dyskusji zapadła decyzja o likwidacji drukarni i postanowiono, że maszyna drukarska zostanie zakopana w lesie w Jastrzębiu, a „Japan” który nadal musiał się ukrywać przetransportowany zostanie do leśniczówki Wygoni, gmina Stara Kiszewa.

„Japan” przeżył wojnę i pracował na różnych stanowiskach między innymi był nadal organistą w Starzynie a nie mógł być bowiem od 1947 roku jednocześnie nauczycielem i organistą z decyzją komunizmu. Został przez władze PRL aresztowany i więziony w 1950 roku za publiczną krytykę Stalinowskiej Kolidytywizacji rolnictwa. Przed aresztowaniem współzałożył w Starzynie w OSP zespół pieśni i tańca „Boloce”. Po październiku latem 1956 roku przeprowadza się do Gdyni Orłowa, wraz z całą rodziną i rozpoczął tam prace jako nauczyciel. Zmarł w Orłowie 20 września 1969 roku i został pochowany na cmentarzu miejscowym.

Ludwik Kossak Głowczewski ps. „Japan” ożenił się 2 IV 1945 roku z Anną Schomburg, która była w stałym kontakcie z Ludwikiem i przywoziła do podziemia meldunki z terenu Gdyni, Gdańska, Wejherowa i utrzymywała stały kontakt z jego rodziną. Z uwagi na stały kontakt dostała pseudonim „Japanowa”. Z tego małżeństwa urodziła dwóch synów Kazimierza (ur. 1946) i Tadeusza (ur. 1947).

Za swoją działalność konspiracyjną został odznaczony Odznaką Pamiątkową Okręgu Pomorskiego AK. Krzyżem Partyzanckim oraz Medalem Zwycięstwa i Wolności.

Jednocześnie informuję, że zostały odnalezione przez mnie przypadkowo w Czarnej Wodzie 11 czerwca 1999 roku oryginalne gazety „Głos Serca Polskiego” około 340 szt. i sporą ilość dokumentacji dotyczącej drukarni i Obozu Konspiracyjnego (OK). Odnalezione dokumenty zostały przekazane do Archiwum Państwowego w Gdańsku i zostały zarejestrowane pod sygnaturą APG-3267. Niewątpliwie wymagają konserwacji i opracowania oraz przetłumaczenia pisanych stenografią przez „Japana”. Dokumenty są przygotowane na wystawę w Politechnice Gdańskiej dla szerszego grona zainteresowanych jeszcze w 2001 roku.

Józef Weltrowski „Pstrąg”

Bibliografie należy przyjąć jak u mego brata Dawida Weltrowskiego dopisując:

• oświadczenie Głowczewskiego Ludwika pisane maszyną z dnia 29 stycznia 1969 roku.

Wpłynęło dnia 16.02.
Ldz. 2644 BED 8. 5 / Pam
2001

Kossak-Głowczewski Ludwik ps. „Hubert”, „Japan”, „Józef”, przybr. nazw. Józef Głowczewski, Jan Klaman, Jan Kowalski, Ludwik Kossak (1905–1969), redaktor konspiracyjnego pisma „Głos Serca Polskiego”.

Urodzony 15 VIII 1905 r. w Hucie pow. chojnicki; syn nauczyciela Bolesława (bliskiego znajomego ks. Wryczy) i Anastazji z d. Wnuk-Lipińskiej. Po ukończeniu szkoły powszechnej w Hucie (prowadzonej przez ojca) uczył się w Collegium Marianum w Peplinie. Z powodu utraty oka przerwał naukę. Kontynuował ją od jesieni 1924 do połowy 1928 r. w Salezjańskiej Szkole Organizatorów w Przemyślu. Przez dwa lata był nauczycielem w Prywatnym Koedukacyj-



nym Gimnazjum dr. Teofila Zegarskiego w Gdyni-Orłowie, uczęszczając jednocześnie do prywatnego konserwatorium w WM Gdańsku, z filią w Sopocie. W 1931 r. ukończył dwa wydziały: muzyki i teorię muzyki, z organami jako instrumentem głównym. Prawdopodobnie przebywał potem u krewnych w Berlinie. Od lutego 1934 r. do połowy 1936 r. objął posadę organisty w kościele we wsi Klonówka pod Starogardem Gd., a następnie do wybuchu wojny był organistą w Starzynie pod Puckiem.

Nie został zmobilizowany w 1939 r. i z wycofującym się WP dostał się na teren Gdyni-Obłuża, gdzie przydzielony do oddziału cywiliów przez dwa tygodnie opatrywał rannych i pełnił nocne służby obserwacyjne. Od 14 IX 1939 r. w obozie jenieckim w Gdyni-Garbówku. Zwolniony dzięki dokumentom dostarczonym przez Annę Schomburg na nazwisko „Głowczewski”. Poszukiwany, przez całą okupację żył na stopie nielegalnej. Ukrywając się u Matyldy Rohde w Pustkach Cisowskich k. Gdyni, nawiązał kontakt z kpt. rez. Antonim Szpungiem i nauczycielem Józefem Żmudzińskim. U Bronisławy Trawickiej (krewnej) z Górek k. Wiela spotkał Józefa Skibę (nauczyciela z Cisewa), który dał mu radiodbiornik. Od Anastazji Zemke z Czerska otrzymał w grudniu 1939 r. informację o przechowywanej maszynie drukarskiej. Aresztowany przez gestapo w styczniu 1940 r. w drodze do Zblewa, skąd od ukrywającego się urzędnika chciał przywieźć papier do przyszłej drukarni. Uratował się z miejsca zbiorowej egzekucji, ale ciężko ranny przechodził do wiosny 1940 r. rekonwalescencję u stomatologa Dakowskiego (im. n.) w Karsinie. Utrzymywał jednak kontakt z A. Schomburg, Julianem Szmaglińskim ps. „Julek”. Przez Alojzego Cysewskiego nawiązał kontakt z Janem Zenonem Klamanem i w grudniu 1940 r. został przez ks. Józefa Wryczę ps. „Rawycz” zaprzysiężony pod ps. „Józef” do TOW „Gryf Kaszubski”. Zgodę na lokalizację konspiracyjnej drukarni od małżeństwa Weltrowskich w Jastrzębiu k. Łęga uzyskał Jan Szalewski ps. „Soból” (późniejszy dowódca „Szyszek”). Już od 1939 r. „Japan” organizował punkty nasłuchu radiowego. Odbiornik radiowy był zamelinowany u Mariana Szostaka w Czarnej Wodzie. Dostarczył go Józef Szmagliński (ze Starogardu). Zebrał też zespół przyszłych drukarzy: leśniczy Jan Kossak-Głowczewski (kuzyn), Józef Grzonka polski policjant (z Bytonii) ps. „Duży Józef”, Bernard Babiński (z Będzimirowic). Oryginalne dokumenty niemieckie pochodzące z komórki legalizacyjnej J. Szalewskiego (czyste blankiety dowodów dostarczały Agnieszka i Helena Schuttenberg ps. „Mimoza” z Kościerzyny) oraz uprawnienia stroiciela fortepianów umożliwiały mu swobodne poruszanie. Dokładny plan usytuowania drukarni opracował z Janem Klamanem ps. „Ludwik” i M. Szostakiem ps. „Student”. Bunkier wybudował Józef – senior Weltrowski.

76 Stow. foto graficzny konspiracyjny pomor.
skraj 1939-1945, Spis 200A, 2. 5

angażując rodzinę i zaufanych znajomych. Dn. 6 IV 1941 r. zorganizował przewóz z Czerska do Jastrzębia maszyny drukarskiej (od Anastazji Zemke) i ukrytych czcionek. W akcji o krypt. „D” udział wzięli: J. Klaman, M. Szostak, Józef Weltrowski – senior, Józef Weltrowski – junior ps. „Pstrąg”, Dawid Grzywacz (kolejarz z Czerska), Kuśnierz i Dalkowski (im. n.). „Japan” (pseudonim używany u Weltrowskich) redaktor naczelny i główny autor artykułów „Głosu Serca Polskiego” (taki tytuł przyjęła gazetka), wydawanego od października 1941 r. do maja 1943 r. w konspiracyjnej drukarni w Jastrzębiu powołał konspiracyjną redakcję. Należeli do niej Albin Makowski z Chojnic, Leonard Brzeziński z Wiela, Stanisław Duraj z Gdyni i Jan Klaman z Karsina (luty 1942 r.). Kolportażem do Tczewa, Chojnic, Kościerzyny, Bydgoszczy, Gdańska zajmowali się: A. Schomburg, rodzina Weltrowskich (Dawid, Genowefa, Jan, Józef, Regina, Zygfryd), Jan Dominik, Bernard Babiński, J. Szmagliński, C. Piesik, Jan Rostanowski, Franciszek Rezmer, Zygmunt Landowski, Rozalia Narloch, Jadwiga Gawrych, Józef Żmudziński, Jan Klaman. Pod koniec maja 1943 r., zagrożony aresztowaniem, wraz z Weltrowskim zakopał drukarnię i do końca wojny ukrywał się.

Po wojnie pracował na różnych stanowiskach, m.in. organisty w Starzynie. W 1950 r. aresztowany i więziony za publiczną krytykę stalinowskiej kolektywizacji rolnictwa. Ożeniony 2 IV 1945 r. z A. Schomburg miał dwóch synów: Kazimierza (1946 r.) i Tadeusza (1947 r.). Zmarł w Gdyni–Orłowie 20 IX 1969 r. i został pochowany na miejscowym cmentarzu.

Odnaczone: Krzyżem Partyzanckim, Medalem Zwycięstwa i Wolności, Odznaką Pamiątkową Okręgu Pomorskiego AK.

Anna Schomburg zam. Kossak–Główczeska ps. „Japanowa” (1908–1982), córka Ksawerego i Matyldy. Była kurierką i łączniczką „Japana” z Gdynią, Gdańskiem, Wejherowem, a także kolporterką „Głosu Serca Polskiego”.

APAK, T.: Kossak–Główczeski L., Klaman J., Kozłowski T., Weltrowski J.; Ciechanowscy K. K., *Tajna działalność kulturalno-oświatowa na Pomorzu z lat 1939–1945*, Gdańsk 1975; Gach Z., *Jeden z Wiela*, Gdynia 1991; Komorowski K., *Leksykon...*; Lewandowska S., *Polska konspiracyjna prasa informatyczno-polityczna 1939–1945*, Warszawa 1982; Sikorski Z. A., *Jan Szalewski – dzieje pomorskiego patrioty*, Pelplin 1996; Weltrowski J., *Drukarnia w Borach Tucholskich z lat 1941–1943*, Tczew 1995; prywatne archiwum autora.

Józef Weltrowski

III | 1. Materiały dotyczące rodziny
Glossak-Głowczewskiego Ludwika:

1. Dowód osobisty Schomburg Army
- zony Ludwika, ony.

k. 2 s. 1-4



A.) Schomburg Anna -
- dowód osobisty (siaraczonyj;
pómięj zomy Ludwika Kossak-
Główniewskiego.



Województwo *Pomorskie*
Powiat *Gryficki*
Gmina *Gryfice*

als Pass-Eintrag
Der Polizei-Präsident

Göteborg, den 17. April 1944



**DOWÓD
OSOBISTY**



wydany na podstawie art. 18 rozp. Prezydenta R. P.
z dnia 16 marca 1928 r. o ewidencji i kontroli ruchu
ludności (Dz. U. R. P. Nr. 32, poz. 369).



Nr. 1144
 Nazwisko Gschomburg
 Imię Kamil
 Data urodzenia 17 8 1908
 Miejsce urodzenia Starzyn p. Morsko
 Imię ojca Maciej matki Charyta
 Zawód Maciocowa
 Miejsce zamieszkania Gdynia, Kłosa Kłosa
 Wzrost 1,75
 Twarz owalna
 Włosy ciemne
 Oczy niebieskie
 Znaki szczególne /
 Wydany dnia 15 kwietnia 1930
 Prezydent miasta
 Podpis
 Proszownik Wydziału





Miejsce na fotografię

Anna Sromka
(Własnoręczny podpis osoby wyszczególnionej w dowodzie)

Stosownie do art. 19 rozp. Prezydenta R. P. z d. 16 marca 1928 r. o ewidencji i kontroli ruchu ludności (Dz. U. R. P. Nr. 32, poz. 309) zaświadczam, że wymieniona (a) w niniejszym dowodzie

p. *Anna Sromka*
jest obywatelką (ka) polską (ą), co zostało stwierdzone na podstawie *dotychczas dowodów.*

Urząd *Starosta Gm. Golejki*

Nr. *7325*
Data *20.9.1934*
A. Nowalski
Podpis
Referendarz

Pieczęć powiatowej władzy administracji ogólnej



WYCIĄG

Z ART. 18 I 19 ROZPORZĄDZENIA PREZYDENTA
R. P. Z DNIA 16 MARCA 1928 R. O EWIDENCJI
I KONTROLI RUCHU LUDNOŚCI (Dz. U. R. P.
Nr. 32, poz. 309).

Art. 18.

Dla ułatwienia legitymowania dowody osobiste będą na żądanie przez gminy wydane osobom w tych gminach zamieszkałym i zameldowanym. Za dowody te pobiera się 60 gr. tytułem zwrotu kosztów druku. Żadnym innym opłatami dowody osobiste, jak również podania (wraz z załącznikami) o ich wydanie, nie podlegają.

Art. 19.

Osoby, posiadające dowody osobiste, wymienione w artykule poprzednim, mogą prosić powiatową władzę administracji ogólnej o zaświadczenie w dowódzie osobistym, że są obywatelami polskimi.

Powiatowa władza administracji ogólnej nie odmówi zaświadczenia, jeżeli po sprawdzeniu stwierdzi, że osoba, starająca się o zaświadczenie, przysługuje rzeczywiście obywatelstwo polskie.



IV/1. Korespondencja wzajemna z
rodzicami Kossak - Głowackiego
Ludwika:

1. Listy Józefa Głowackiego z 25.01.1985,
mpis, kop.

k. 2 s. 1-2



Józef Weltrowski, Jr.

Do wspomnień Ludwika i Anny Głowczewskich z czasów okupacji hitlerowskiej w sprawie wydawanej gazety konspiracyjnej "Głos Serca Polskiego" wyjaśniam, że wydarzenia nie są opisane szczególnie, gdyż zabrakło czasu i zdrowia. Wspomnienia pisane były u schyłku życia śp. Ludwika Głowczewskiego pseud. "Japan", który zmarł 20 września 1969 r. przeżywszy 64 lata.

Przypominam sobie jak prosił mnie kilkakrotnie o odwiedzenie go i pomoc przy opisaniu, szczególnie tego okresu, gdy zaczęła się praca przy zdobyciu drukarni rotacyjnej a następnie wydawania konspiracyjnej gazety "Głos Serca Polskiego" w gospodarstwie moich rodziców Józefa i Genowefy Weltrowskich w Jastrzębiu, gmina Cieliczna, pow. Starogard Gdański. Niektóre szczegóły trudno nam było we dwoje, bez pomocy innych zaangażowanych w tę sprawę osób, ustalić - gdyż "Japan" był już obecnie chory po operacji pęcherza. Ale pomimo wszystko uważam, że jest to dokument odzwierciedlający sytuację Polaków w czasie okupacji hitlerowskiej, ludzi poświęcających i narażających swoje życie dla Olszyny. "Japan", jako mój dowódca z czasów konspiracyjnych II Wojny Światowej, prosił mnie, abym zabezpieczył się tym zeszytem i zawarł w nim wspomnieniami - dla następnych pokoleń.

Wspomnienia te wydaję w 40 rocznicę zakończenia II Wojny Światowej, które zostały przepisane przez p. Marię Czarnowąską na maszynie w 6 egzemplarzach. Poszczególne egzemplarze otrzymują:

- 1/ dr Kazimierz Głowczewski, syn śp. Ludwika
- 2/ red. Wojciech Kiedrowski "Pomerania"
- 3/ dr Konrad Ciechanowski, historyk
- 4/ dr Jan Szalewski, D-ca "Gryfa Pomorskiego".

Pozostałe 2 egzemplarze, oryginał i kopia oraz zeszyt-rękopis

pozostają w posiadaniu rodziny Weltrowskich.

Szczegółowych wyjaśnień udzielić może Józef Weltrowski
zam. Gdańsk-Przeszcz,

Gdańsk, 25 stycznia 1985 r.

Józef Weltrowski jr.



T.M.: 113/722 Pom.

Chojnice

Hossak-Głowaczowski Ludwik
F. Skarty informacyjne

k. 18



q Tos Suce

opz by d p o s t i
w y p a r y c y c' m e S e p t e

Ciechowoby
Tajne do wiadomości Goytu
n 94-95

(2 1 9 4 1 l u d o 1 9 4 2
j a k o p i s m y)



Torunig

Grodzowski Indrik
wz listu do g. marmwa 2 kwa-
kawa byt u BGP na Pomorsku
5/12/88



Karsak - Głowacki i Instrukcja "Japan" ? Rozmowa
rel Głowacki Chopina 3
208 art. "Pamięć" 1986 Zgłosz
art własny

22



11-110 113

Chojnice 4

Głowaczowski Ludwik, Józef, Hubert
ps. „Inżynierski”

donacja gazetki „Głos Serce Polki”
wg listu J. Klamana z 15.11.78
i Kółporanny

K+



Rossek-Głowaczowski Ludwik

in . japon

donkacz podrumia . Głos Szwecji

wg. oprac. Zbigniewa Gacha „japon”

(w) „Pomerania” listopad 85 - sierpień 86.

- W czasie wojny także - Jan Kowalski
lub Jan Klaman

Syn wielewskiego nauczyciela Bolesława

-wa i Anastazji z Wnuk-Lipińskich.

w. 15. VIII 1905 r. we wsi Fluka, pow. Chojn.



Główny Józef =

= Kossak Główny Ludwik

Wszystko tożsamość naszą tego dnia
Jana Kossaka oraz naszą Jan Ko-
walski

Int. K. "Pomocni" - także osobne

Przebieg z wycieczką wrota
H.M.H.



pow. Stargard
BIP 7

Koszak - Głównowski Ludwik

ps. "Japan"

zakażać zrobić dokumenty
dotyczące drukarni i gazety, których
nie udało się

inf. Weltowski Józef rel 189

v. "Głos Serca Południowego"

er



główny =

Kossak - Główny Ludwik

ur. 15. VIII 1905 r. we wsi Żłota pow. Chojnice
rodz. Bolesław i Anastazja
z d. Wnuk - Lipińska



Głdwozewski Ludwik
ps. "Józef", "Hubert"
"Tapan"
mieszkaniec Wiele, członek "Gryfa",
drukarz gazetki "Głos Serca Polskiego"

Archiwum
Gryf Pom.

J. Baręszkowski, Okupacja ...
Pomeranie, z. 11/1984, s. 18.

PO-94



Chojnice
110

GŁONCZEWSKI

Współpraca z grupą J. Klamana, udział
w akcji przejęcia drukarni w Orewsku - później
główny drukarz "Głosu Socjał Polskiego".

T.: Klamen J, insp. Chojnice, I/2 5

10297



Kossak - Głowczewski Ludwik
ps. "Japan" AA

Z jego inicjatywy wiosną 1940 roku
powstaje plan założenia podziemnej
drukarni, a do uzgodnienia jej lokaliza-
cji w obrębie gospodarstwa Wętkowskich
w Jastymierzu koło Esamej Wody wstępuje
się Jan Bzelewski.

zob.: Sikorski J. A. "Jan Kazimierz Bzelewski, dzieje
pomorskiego patrioty", Gdańsk 1996, str. 43

442. VI 198



Mossak-Głowczewski Ludwik

Chojnice
J.W.G.P.
Ak. 12

- na posiedzeniu meża 1941 roku przystąpiono
do alii przewoźników - "kwaściszy" - drukarni;
Ludwik dowodził alią, w której
brali udział 11 osób

zob: relacja t. os. N-417/1042 Jan Klemen

Wsk. 199



Glossak-Głowczewski
Ludwik z Wielce

Chojnice
Joh. Graf P.
Hk
13

poinformował pod koniec 1940 r.
Klemens Jans, że gestapo ma
ułożoną w Czersku drukarnię, która
zarchiwizowała Lemne. Drukarnia zbudowa-
na na rdze u siostr Brackimskich.

zob: relacja t. os. nr M-417/1042 Jan Kle-
men

zsb. VI 199



a

Chojnice TOW
Grupa Pomorska

++
 KOSSAK-GŁÓWCZEWSKI Ludwik
 ps "Hubert", "Japan", "Józef"
 przybr. nazw. Józef Głowczewski
 Jan Klaman, Jan Kowalski, Ludwik
 Kossak 1905-1969. Redaktor pisma
 "Głos Serca Polskiego. stopa nielegalna"
 Zaprzysiężony przez ks. J. Wryczę
 ps "Rawyca". Aresztowany w 1950
 za krytykę stalinowskiej kolektywizacji.
 Relacja J. Weltrowski
 Zob.

A4

Słownik Biograficzny Konspiracji
 Pomorskiej 1939-1945 część 5
 Fundacja "Archiwum Pomorskie AK"
 str 75, 76, 77 Toruń 2001

DRut
2003



Kossak-Głowacki
Ludwik

Chojnice
15

sob. Jach Zbigniew, Jeden z
Wielki, Gdynia 1991,

M. x 105



Kossak-Główczewski Ludwik (1905-1969), ps. „Japan”, „Józef”, „Hubert”, przybrane nazwiska: Jan Kowalski, Józef Główczewski, Ludwik Kossak, redaktor konspiracyjnego pisma „Głos Serca Polskiego”.

16
Urodzony 15.08.1905 r. w Hucie, pow. Chojnice, syn nauczyciela Bolesława i Anasztazy z d. Wnuk-Lipińskiej. Ukończył szkołę powszechną w Hucie, którą prowadził jego ojciec (przyjaciel ks. J. Wryczy). Następnie uczęszczał do Collegium Marianum w Pelplinie. Z powodu utraty oka przerwał naukę, kontynuował ją później w Salezjańskiej Szkole Organistów w Przemyślu. Był nauczycielem w prywatnym gimnazjum w Gdyni-Orłowie. W 1931 r. ukończył prywatne konserwatorium w WM Gdańsku z filią w Sopocie. Był organistą w kościele we wsi Klonówka pod Starogardem Gdańskim, a następnie w Starzynie pod Puckiem. Z powodu stanu zdrowia nie został zmobilizowany w 1939 r. Od początku okupacji poszukiwany przez Niemców, żył na stopie nielegalnej. Zaangażował się w pozyskanie dla celów konspiracyjnych ukrytej maszyny drukarskiej należącej przed wojną do jego dalekiego krewnego doktora Antoniego Zemkego z Czerska. Przepuszczalnie w grudniu 1940 r. zaprzysiężony w ramach TOW „GK”. Drukarnia umiejscowiona została w specjalnie w tym celu wybudowanym schronie na terenie gospodarstwa Genowefy i Józefa Weltrowskich w Jastrzębiu. Kossak-Główczewski redagował i drukował tam od października 1941 r. do maja 1943 r. gazetkę konspiracyjną pod nazwą „Głos Serca Polskiego”. Część zamieszczonych w niej materiałów oparta była na nasłuchu radiowym z radiodbiornika zainstalowanego u Mariana Szostaka w Czarnej Wodzie. W obawie przed dekonspiracją podczas masowych aresztowań w maju 1943 r. zaprzestano działalności wydawniczej, a maszynę drukarską zakopano. Po wojnie Kossak-Główczewski pracował w różnych miejscach, m.in. jako organista w Starzynie. W 1950 r. aresztowany za publiczną krytykę kolektywizacji rolnictwa, zwolniony po kilku miesiącach. Przez pewien czas prowadził zespół pieśni i tańca. W 1956 r. był kierownikiem wiejskiego kina w Starzynie. W 1959 r. przeprowadził się do Gdyni, pracując głównie w szkolnictwie.

Zmarł 20.09.1969 r. Gdyni-Orłowie, gdzie został pochowany.

420
L. Gach, *Jeden z wielu*, Gdynia 1991, passim;
H. Komorowski, *Konspiracyjka...*, s. 87-88;
SBKJ, w. 5, s. 75-76



Głowoszewski Ludwik

Chojnice 17
TOW. G. P-
AK

drukarnia „~~Serce~~ Głosu Serce
Polskiego”.

zob: Nr: 1194/1993 Pom. 21/11 Tetschett
Staniław - Choj.

AK VIII 103



Główny Sędzi

Chojnice
Dow. C. K. K.
subskri

18

Przejęt kierownictwo i sprawy
wydziału misje obywateli
Gastrowin ("Głos Serca Polskiego")

zob. Sędziy Bernard D. W. 427/1047 Pom.

z. 1/1 s. 29... ; imp. Choj.

22 XII 03



ssak - Głowczewski
mdwik

